

OFIARA MATKI

Z właściwą sobie, niezrównaną prostotą Ewangelia podaje: „A gdy się wypełniły dni oczyszczenia jej, według prawa Mojżeszowego przyniesli je do Jeruzalem, aby je stawił przed Panem, jako napisane jest w Zakonie Pańskim: Każdy chłopiec pierworodny będzie poświęcony Panu (Wyjść. 13,2), oraz by złożyć ofiarę według tego, co powiedziano jest w Zakonie Pańskim, parę synogarlic albo dwa gołąbki“ (Lk. 2,22-24).

przeciwie, Ona przynosi światu Czystość, przynosi mu Odkupienie? Czyż sama chwala Jej Syna nie powinna Ją była skłonić do takiego postępowania? Czyż Jej milczenie nie uchybiało Jego Bóstwu, skoro pozwalało ludziom mniemać, że jest On tylko synem człowieka, poniekąd zadając kłam wydarzeniom, które ujawniły, że jest On Synem Bożym?

Ewangelista notuje ten fakt, jak coś zupełnie zwykłego, naturalnego, samo przez się zrozumiałego. Oto Maryja poddała się oczyszczeniu, a Jezus przez Maryję poddał się ofiarowaniu, jak wszystkie inne matki i pierworodni synowie Judei.

Tak z pewnością postąpiłby każdy, z wyjątkiem jednej Maryi. O takim postępowaniu moglibyśmy się dowiedzieć bez wątpienia z każdego opisu na miarę ludzką. Ale od Maryi i od Ewangelii daremnie oczekiwać czegośkolwiek, co by nie było najzwyklejsze i najprostsze, co by nie było niezwykłe i najszczytniejsze. W cudownym zespoleniu z dążeniem Swego Syna do uniżenia i ofiary, Maryja nieustannie unia swą wielkość, ukrywa swą chwałę, aby się poddać nieustannie, a w tym wypadku poddać się upokarzającym przepisom. Ona, która onaż nieznaną światu i nieświadoma swych przeznaczeń, ośmieliła się w zazdrośnej trosce o ślubowane dziewictwo dyskutować z Aniołem i zaszczytowi Boskiego Macierzyństwa

Wszystko to jest bardzo zwyczajne, jak to, że matka urodziwszy dziecko owinęła je w pieluszki i ułożyła. Tak zwyczajne, jak cały przebieg ludzkiego życia Jezusa i Maryi.

Ale pod tą „zwyczajnością“ kryją się rzeczy niezwykłe. „Tajemnicze najgłodsze czci, powiada Bourdaloue, w których odkrywamy to, co w wierze naszej jest nie tylko najwznioślejsze, boskie, ale i naj-

Wszystko to jest bardzo zwyczajne, jak to, że matka urodziwszy dziecko owinęła je w pieluszki i ułożyła. Tak zwyczajne, jak cały przebieg ludzkiego życia Jezusa i Maryi.



Grünewald Mathias — Matka Boska z Dzieciątkiem

bardziej wzruszające, budujące. Oto Bóg-człowiek zostaje ofiarowany Bogu, Święty świętych zostaje poświęcony Panu, Najwyższy Kapłan Nowego Przymierza staje się ofiarą, odkupiony zostaje Odkupiciel świata, oczyszczeniu poddaje się Dziewica, a Matka składa Syna w ofierze!“ 1).

przeciwstawiać zastrzeżenie, że „nie zna męża“ — teraz, z wżyn Boskiego Macierzyństwa i Dziewictwa tym bardziej uświęconego tym Macierzyństwem, wstępuje, pozabia się w oczach ludzkich podwójnej chwały, a raczej wznosi się do chwały nad chwałami, którą jest chwała pokory.

I jakże tu największym wzruszeniem nie uczcić wzniosłości tych faktów tak prostych w przebiegu i w opisie.

Wielkości Maryi wymykają się wszelkim porównaniom, każdą z nich miarę można mąram im tylko właściwą. Oto Maryja ceni dziewictwo tak dalece, że gotowa mu poświęcić zaszczyt zostania Matką Boga, ale żyje pokorą, aż do poświęcenia jej nawet chwały swego dziewictwa. To są jakieś wyżyny, których szczyty wznoszą się ponad wszelkie cnoty ziemi i nieba, przechodzą wszelkie zrozumienie i poznanie, nawet zdolność rozumienia i pojmanowania samej Maryi. Jedynie Bóg podziwia pokorę swej służebnicy wśród wielkości, jakimi Ją obdarzył. Bo pozbywając się tych wielkości przez pokorę, usprawiedliwia Ona je tym samym, zasługuje na nie, doprowadza je do szczytu doskonałości. Toteż z tego oczyszczenia (Dokończenie na str. 2).

Maryja, cud milczenia, uległości, pokory! Ona, która odebrała hołdy Anioła, Elżbiety i pasterzy. Ona, która występowała hymn sławiący Jej własną wielkość i w proroczym widzeniu oglądała cześć, jaką Jej świat oddawać będzie, Ona, błogosławiona między niewiastami, poddaje się upokorzeniu wspólnemu wszystkim niewiastom. Czyż w tej chwili nie powinna była pamiętać, że Bóg uczynił Jej wielkie rzeczy, że jest Błogosławiona i błogosławiony jest owoc Jej żywota? Czyż nie powinna była oznajmić, że nie potrzebuje żadnego oczyszczenia, bo

DZIS i JUTRO



SPOJRZENIA NA BERLIN

DOMINIK HORODYŃSKI

NADZIEJA brzemienista konferencja czterech ministrów spraw zagranicznych rozpoczęła swe obrady w Berlinie. Po cztero i pół-letniej przerwie przedstawiciele wielkich mocarstw znów zasiedli przy wspólnym stole obrad. Wiele rzeczy stało się na świecie w ciągu tych lat napięcia międzynarodowego, zimnej wojny i braku bezpośredniego kontaktu i rozmów. Dokonały się wydarzenia o takiej doniosłości historycznej jak np. okrzepnięcie Chin Ludowych, krystalizowanie się coraz bardziej niezależnej pozycji politycznej Indii, klęska interwencji amerykańskiej na Korei, potężny rozwój światowego ruchu obrońców pokoju itp. Wszystkie te wydarzenia niepomrotnie wzmocniły pozycję obozu pokoju, którego przedstawiciele zasiadając ponownie do obrad podejmują rokowania w sytuacji znacznie pomyślniejszej niż w chwili, w której zostały one przerwane. Już sam zresztą fakt dojścia do skutku konferencji berlińskiej dowodzi zwycięstwa hasła rokowań, wskazuje, że nastąpiło już istotne odprężenie międzynarodowe, a tym samym siły upatrujące swą przyszłość w wojnie poniosły poważną klęskę.

nych przeciwko któremukolwiek z państw, które swymi siłami zbrojnymi brało udział w wojnie przeciwko III Rzeszy. To stanowisko radzieckie odpowiada interesom państw sąsiadujących z Niemcami, np. interesom narodowym i bezpieczeństwa Polski, jak również prawdziwym interesom samych Niemiec, którym gwarantuje pełną suwerenność i pokojowy, demokratyczny rozwój. Odwołanie politycy amerykańscy chcieliby, właściwie jeszcze przed zjednoczeniem, drogą faktów dokonanych, zapewnić sobie „integrację“ Niemiec do bloku atlantyckiego przy równoczesnym zagwarantowaniu władzy nad terytorium całych Niemiec elementom najbardziej reakcyjnym, militarystycznym i rewizjonistycznym. W tym celu szermują oni demagogicznym hasłem „wolnych wyborów“ przed utworzeniem centralnego rządu niemieckiego, sądząc, że przy rozpętaniu fali szowinizmu władza w Niemczech przechwycona zostanie przez elementy najbardziej reakcyjne. Niedaleko od tej koncepcji odbiegają dotychczasowe propozycje angielskie, które chciałyby złagodzić brutalność amerykańską „gwarancjami“ przeciwko niemieckiemu militarystom. Anglicy proponują dać miecz w ręce szalonego i przy tym dyskutować, jak się przed jego czynami zabezpieczyć. Co do nas — w niczym nie uchybiając brytyjczykom — musimy zauważyć, że dostatecznie dobrze znamy wartość gwarancji angielskich przeciwko militarystom niemieckim, by móc na nich opierać bezpieczeństwo Polski. Dotychczasowe koncepcje amerykańskie rozwiązania sprawy niemieckiej są nie do przyjęcia nie tylko dla ZSRR. Są one nie do przyjęcia dla wszystkich narodów europejskich, które poznały wojnę, gdyż stwarzają nieuchronne warunki do następnej wojny. Przekreślają one sens wojny przeciwko hitleryzmowi i ich przyjęcie byłoby zdradą w stosunku do milionów poległych w walce z hitleryzmem.

w Berlinie punkt widzenia rządu federalnego. Powiedział to w takiej formie, jakby dając do zrozumienia, że Niemcy zachodnie są dziś tak potężne, iż on, kanclerz, nie musi fatygować się do Berlina, bo jego polecenia wykonają tam inni. Równocześnie z ramienia swego rządu Adenauer zgłosił tylko jedno publiczne żądanie w stosunku do przedstawicieli wielkich mocarstw: żądanie zwolnienia zbrodniarzy wojennych skazanych w Norymberdze, zbrodniarzy o złowieszczych nazwiskach, które ludzkość chciała wymazać z pamięci: Rudolf Hess, Balduw von Schirach i pięciu innych.

Szybkie utworzenie armii europejskiej z udziałem silnych kontyngentów niemieckich ma być rzekomo najskuteczniejszym lekarstwem przeciwko tej izolacji.

Istotnie, polityka Adenauera wywołała potężny odruch narodów europejskich, ale nie jest to odruch przeciwko narodowi niemieckiemu, lecz odwrotnie, przeciwko największemu wrogowi narodu niemieckiego i wszystkich narodów — przeciwko militarystom niemieckim. I w tej chwili już żadne wybiegi Adenauera nie są w stanie osłabić tego rodzającego się potężnego frontu narodów Europy. Będzie on rósł z każdym dniem.

NIE słucha się kłamstw bezkarnie. Pod nieobecność sugestii zachodnio-niemiecką przyjęło się wśród ludzi, ulegającym tym sugestiom, chętnie mówić o błędach NRD. Nie popełniają błędów zwykłe ci ludzie, którzy nie nie robią. Mówiąc o Niemieckiej Republice Demokratycznej pamiętać trzeba, że mówi się o pierwszym w dziejach Niemiec państwie, które dokonało olbrzymiego, rewolucyjnego wysiłku w kierunku wychowania narodu niemieckiego do ducha pokoju i demokracji.

Długoletni podział kraju i istnienie dwóch rządów o głęboko różnych ambicjach w stosunku do przyszłości własnego narodu jest również poważnym utrudnieniem na drodze zjednoczenia Niemiec. Przedstawiciele NRD od chwili jej powstania wielokrotnie i uporczywie domagali się podjęcia bezpośrednich, ogólnoniemieckich rozmów. Nieposobę wyliczyć wszystkich propozycji ponawianych jeszcze w ostatnich dniach. Ze strony Bonn niezmiennie następowała odmowa.

Rzecz charakterystyczna, na którą warto zwrócić uwagę — to nagle złagodzenie w ostatnich tygodniach ataków rewizjonistycznych przeciwko Polsce. Dawniej bredziło się o Uralu, dziś mówi się o „potrzebie dogadania się“ z Polską. Wstawiony wystąpieniami politycznymi kardynała Frings nieoczekiwanie zaczął przyznawać, że Niemcy w przeszłości były winne w stosunku do narodu polskiego. Niestety, nie można mieć złudzeń, jaki jest sens tej nowej taktyki. Chodził zwyczajnie o zamazanie istotnych swoich celów. Adenauer cynicznie okłamuje Niemców sugerując im, że zmienia granicę na Odrze i Nysie w drodze „dogadania się z Polską“, choć sam doskonale wie, że jakakolwiek próba naruszenia tej granicy oznacza wojnę. Kardynał Frings usypia czujność narodów sąsiadujących z Niemcami tłumacząc, że niczego nie potrzebują się obawiać od kraju kierowanego przez tak głęboko chrześcijański rząd, a przeciw kardynałowi musi znać te posunięcia rządu Adenauera, od których od lat huczy w Niemczech i w Europie. Kto uwierzy w dobrego, chrześcijańskiego rycerza zbrojącego się z arsenałów Kruppa, któremu nie wystarczy towarzyszywo generalów Hitlera i który tęskni do Rudolfa Hessa?

Jeśli dziś, w chwili konferencji berlińskiej spojrzymy nawet pobieżnie na sytuację polityczną w obu częściach Niemiec, łatwo zrozumimy istotne powody tej pozornie niezrozumiałej taktyki przywódców z Bonn.

W związku z wizytą w Polsce deputowanych francuskich i z wypowiedzianymi różnymi osobistościami politycznymi Francji, W. Brytanii, Belgii, Włoch itd., przestrzegającymi przed niebezpieczeństwem militarystmu niemieckiego, podległa Adenauerowi prasa podniosła wrzawę, że Niemcom grozi izolacja polityczna i okrażenie, że rodzi się antyniemiecki front narodów europejskich.

W przededniu konferencji Adenauer z butą oświadczył, że trzej ministrowie mocarstw zachodnich zobowiązali się reprezentować

Celem konferencji berlińskiej jest rozpatrzenie i pokojowe rozwiązanie spornych zagadnień, zapewnienie bezpieczeństwa i pokoju dla całego świata. Nie brak tych spraw spornych, których rozwiązanie jest konieczne i możliwe na drodze pokojowej, wytarczy wymienić takie zagadnienia jak problem koreański — szczególnie w tej chwili pałący z powodu prowokacji dowództwa amerykańskiego, jak sprawa wejścia Chin do ONZ, zakaz używania i kontrola broni atomowej. Jednym z najważniejszych zagadnień stojących przed konferencją jest niewątpliwie sprawa pokojowego rozwiązania problemu niemieckiego.

W pierwszym rządzie koncepcje wielkich mocarstw, w szczególności zaś Związku Radzieckiego i Stanów Zjednoczonych, zasadniczo różnią się między sobą. ZSRR konsekwentnie dąży do umożliwienia narodowi niemieckiemu realizacji jego słusznego dążenia do zjednoczenia kraju i uzyskania niepodległości i niezależności. Równocześnie ZSRR domaga się dwójakich gwarancji, obu zresztą wynikających z układu poczdamskiego. Po pierwsze w zjednoczonych Niemczech władza nie może znajdować się w ręku militarystów i faszystów (poczdamska demilitaryzacja i denazyfikacja). Po drugie zjednoczone Niemcy nie mogą uczestniczyć w agresywnych paktach wymierzonych

(Dokończenie na str. 4).

SEKRETY CZAROWNIC

INI, bywało, od dwóch krów nadają pól szkopka mleka, a ona od jednej całe wiadro... Żeby jak rano wypędzić bydło na paszę, to i tak była zawsze pierwsza — szła ze swoją krową przed innymi i ciągle coś do niej mówiła... Stąd każdy już we wsi wiedział, że jest czarownica i odbiera cudzym krowom mleko — choć doty tylko swoją...

Nie było z nią rady. Aż raz do jednego gospodarza przyszedł parobek, który tak samo znalazł się na czarach mimo, że nie był czarownikiem. Zaczęli go prosić, żeby coś poradził, ale on za byle co nie chciał. Dopiero jak ten gospodarz mu obiecał, że będzie mógł się ożenić z jego córką, a była bardzo ładna — to się zgodził i mówił: — dobrze.

Jeszcze przed wschodem słońca wyprowadził konie paść, zdjął z nich uździennice i ruszył za bydłem. Jak czarownica szła poprzód, to on z tyłu. Jak czarownica z lewej strony bydła, to on z prawej, a cały czas machał po rosie kantarom. Jakby coś zbierał i powtarzał:

złości rzuciła czary na tę ładną córkę, że zestrupiała na gębie jak ropucha...

Opowieść ciągnie się dalej, obfituje jeszcze w wiele scen dramatycznych, ale oczywiście parobek w końcu zwycięża, żeni się z ładną dziewczyną, a krowy ich przez długie lata dają dużo mleka...

Jaki jest sens tej opowieści z czarów wszechwładnego panowania zabobonu? Opowiadano mi ją kiedyś w lubelskim, gdzie jeszcze i teraz zaniedbane krowy dają za ledwie pięć, sześć litrów mleka dziennie. A jeśli któraś gospodyni dbała o swoją oborę lepiej i zamiast ze szkopkiem chodzila doić z wiadrem — zazdrośni i podejrzliwi sąsiedzi przed jej późniejszą okrzykiem ją czarownicą, a jej los był godny współczucia.

Bujna wyobraźnia ludu snuła na ten temat mnóstwo fantastycznych opowieści. Ta właśnie historia o mądrym parobku, który przechytrzył „czarownicę”, przypominała mi się teraz, gdy byłem niedawno w okolicach Krotoszyń, we wsi Osusz. Przeciętna wydajność zbóż

nie miałem szczęścia spotkać żadnej.

Gdy poinformowano mnie, że do Osusza jest tylko 3 km ruszyłem we wskazanym kierunku piechotą. Po 10 minutach kończy się miasto a zaczyna pole. Zanim wszedłem w obórę wsi, kwiaty w ogródkach przydrożnych zatracały już swoje barwy w mroku, ale na zielonych trawnikach znać było jeszcze szerokie kapelusze sztucznych grzybów i muchomorów, a wśród nich rozsiadłe w różnych pozach krasnoludki.

Domy przeważnie murowane, większość ścian umajona winnicami o soczystych dojrzających gronach.

Zza czystych firanek prześwituje wszędzie światło elektryczne, a poprzez uchylone okno z głośników radiowych słychać muzykę lub pogadanki rolnicze. Nie zapomniano tu nawet o budce dla nocnej warty. Budka ta pomalowana w białe i czerwone pasy sygnalizuje z daleka, że w pobliżu mieści się urząd sołtysa...

statek nie jest tu gościem na pokaz.

FAKTY I CYFRY

Po kolacji, w toku rozmowy na tematy gospodarcze sołtys pokazuje mi teczkę ze zbiorom uchwał i zobowiązań jakie wieś podjęła i wykonała od roku 1950. W ten sposób wieś poprawiła w okolicy stan dróg, hodowli i wydajności gleby. Dowodem tego jest wiele dyplomów, listów pochwalnych, wojewódzki sztandar współzawodnictwa, a ostatnia nagroda zdobyta w tym roku — to zaprowadzenie światła...

Nie sposób jest cytować którejś kolwiek uchwały, gdyż każda liczy po kilka stron maszynopisu, ale warto przytoczyć chociaż dwa z wielu punktów. Np. punkt 6 zobowiązania z ubiegłego roku:

„Realizując uchwałę Rządu o obowiązkach dostaw mleka i opierając się na planie wynikającym z obowiązku dostawy, która dla całej gromady wynosi 52.650 litrów rocznie — zobowiązujemy się odstawić 263.305 litrów, co stanowi 500 procent.

A wykonano wiecie ile — 6001

A oto punkt 6 zobowiązania z roku bieżącego:

„Obowiązkową dostawę żywności zrealizujemy w 100 proc. i ponadto odstawiemy 200 (dwieście) sztuk bekonów i tłustomięsnych ponad plan. Odpowiedzialny za wykonanie jest ob. Krawczyński Hipolit, przewodnik kontraktacji”.

Oto zaledwie kilka faktów i cyfr, może jedna setna z tego co wykonał Osusz dzięki indywidualnym i gromadzkim zobowiązaniom od roku 1950.

„CHODZIE DO — NAS ZOBACZYCIE”

GOSPODARSTWO sołtysa nie jest w Osuszu wyjątkiem. Taki sam stan pogłowia i tak samo po 5—7 dyplomów uznania i listów pochwalnych za wysoką produkcję i patriotyczną postawę wobec Państwa Ludowego mają 8—9 hektarowi gospodarze: Helena Synowicz, Jan Starzyński, Mieczysław Peplowski, Antoni Szustak, Ignacy Ryba, Olszanowski, Rosik i inni, których nie zdążyłem odwiedzić.

Najdłużej wypadło mi zatrzymać się u Rosików. Mieszkają oni w tej części Osusza, która się nazywa Salmia. Podobnie jak i w centrum wsi — każde gospodarstwo prezentuje się do drogi solidnym murowanym domem i starannie utrzymanym ogródkiem lub trawnikiem. Dom Rosików w jednym końcu ma nawet piętérko.

— Wy tu chyba nie przeżyliście żadnej wojny, bo wszystko wygląda tak jakoś, jakby oddawna zasiedziało?

Nr to pytanie syn i córka Rosików, których zastałem w domu uśmiechając się pobłażliwie.

— Pozory mylą, mówi Danuta Rosikówna — cała wieś była wysiedlona stąd na wschód. A kto pozostał ten nie miał prawa do niczego. Musiał pracować u hitlerowców za parobka. A jak przyszło im po 4 latach stąd uciekać — to czego nie zdążyli zabrać — niszczyli, aby nam się nic nie zostało. Ten



Danuta Rosikówna ze swoją pupilką „Murzynką”

dom to już postawiliśmy teraz, niedawno.

Tadeusz Rosik i jego siostra Danuta mimo młodego wieku oddawały już potrafią zastąpić we wszystkich rodzicach. Pozwalają zwiedzić swoje gospodarstwo i chętnie służą informacjami. Urządzenie obory, chlewni i stajni, choć w niedużych wymiarach nie ustępuje w niczym wzorowym pomieszczeniu tego rodzaju w szkołach rolniczych i PGR-ach, które nieraz zwiedzałem.

Klatki u świń wyblonione wapnem — sucho w nich, widno, czysto. Podobnie też w oborze, w stajni i w kurniku. Inwentarz żywy u Rosików nie byle jaki: konie krwi arabskiej, 9-krów wysokiej rasy — to rekordzistki wpisane do księgi głównej. Świnie: 20 sztuk, które sprzedano w tym roku do PGR-u Kościan, do gospodarstwa w Hucie Bieruta pod Częstochową, do spółdzielni i gospodarstw indywidualnych — to wszystkie rasowe sztuki na chów.

W całym obejściu widać dbałość gospodarzy o ład i porządek, a w domu — tym bardziej. Firanki, obrazy, meble zdobące trzy pokoje a w jednym z nich najnowszego typu „AGA” stwarzają nastrój, że mimo woli przypominają się wierszyk jakiejś sielanki: „Chodźcie do nas — zobaczcie, jakie to tu miłe życie”.

Warto przy tym zaznaczyć, iż panna Danuta jest nie tylko specjalistką od hodowli świń i krów. W przydomowym ogródku ma piękną kolekcję róż, a w pokoju na ścianie obok dyplomów ojca za wysoką wydajność w produkcji rolnej i patriotyczną postawę wobec Polski Ludowej wisi również jej dypl-

lom uznania za upowszechnienie czytelnictwa na wsi.

— Czy może mi pani zdradzić sekret, czym w te swoje krowy karmicie, że tak dobrze wam się chowają i doją? — pytam.

— Proszę bardzo, ale wobec tego zechce pan przejść się ze mną w pole.

No cóż, pole jak pole, wszędzie jednakowe. Tutaj o tyle różne od pól w innych dzielnicach kraju, iż mimo późnej jesieni, nie tylko że nie widać nigdzie ścierniska, ale mała gdzie można dojrzeć szare skiby — wszędzie zielono i kwieciste jak na wiosnę.

— Widzi pan — wyjaśnia młoda gospodyni — my i nasze pola nigdy w lecie nie przynajemy. Zaraz po pierwszych zbiorach stępną drugi raz poploną, a niektóre kawałki obsiewa się i trzy razy do roku. Trochę na przyorywkę jako nawóz, a resztę na zieloną paszę. Każda krowa jak jest dobrze żywiona daje dużo mleka, a krowy o dziedzicznych cechach wysokiej mleczności jak nasze — szczególnie.

— Tamte dwie np. Kalemba i Murzynka — pokazuje Danuta — wyciągają rocznie do 6 tys. litrów, inne najmniej po 4 tys. Odstawiamy więc przeciętnie po 50 — 60 litrów dziennie. W ten sposób roczny plan obowiązkowej dostawy wykonujemy zwykle w ciągu miesiąca. Przez cały rok też — smietanka idzie do miasta, a my chude mleko zabieramy z powrotem. Częściowo służą ono jako karma dla świń, dzięki której prosie u nas po 6 — 7 mie-

(Dokończenie na str. 4)



Dom Rosików zbudowany już po wojnie

— Zbierasz pożytek, ale nie wszystko, a ja resztę, a ja resztę...

Pomachał tak z każdej strony, aż się krowy dobrze napasyły, pasuch gnał do domu, to i on wrócił. Konie wpuścił do stajni a te uźdźnienice powiesił na słupie i zaraz zaczęło z nich kapać: najpierw biała piana, a potem czyste mleko...

— Podstawcie gospodarzu jakieś naczynie, bo to wasze mleko, niech się nie marnuje — powiedział.

Gospodarz trochę nie dowierzał, ale córka gospodarza szybko podstała szkopkę, a gdy się napełnił, to wiadro... Jedno, potem drugie, trzecie — pięć wiader takiego tłustego mleka, że prawie jak śmietana naciekło tego ranka, a czarownica nadała o wiele mniej... Wściekła była za to na parobka, ale nie mogła mu nic zrobić, to że

z jednego hektara wyniosła tu w tym roku ok. 30 q, zaś wydajność mleka od krowy przeciętnie 4.000 litrów, a więc na miarę lubelską to po prostu czary. Mówiąc o tej wsi na Krajowym Zjeździe Przemysłowców Chłopów wicepremier Zenon Nowak rzucił pytanie: „Czy tego, co robia świadomi, zapobiegliwi gospodarze z Osusza, nie mogłaby dziś zrobić każda gromada?”

Wybrałem się specjalnie, aby zobaczyć, jak oni to robią...

W DRODZE DO OSUSZA

JAK większość miast i miasteczek w woj. poznańskim — Krotoszyń jest bardzo miły i schludny. Jest tu piękny park, dwa ładne kościoły, staroświecki ratusz w rynku. Są podobno nawet taksówki, choć

Jan Minta jest sołtysiem w Osuszu już 4 lata, liczy sobie 70-ty rok życia, ale jego energii, znajomości spraw społecznych, gromadzkich i gospodarskich może mu pozazdrościć niejeden kolega po fachu znacznie młodszy.

W całym domu nawet w sieni froterowana podłoga, na niej czyste chodniki, w pokojach piękne meble. Domownicy wracając do pracy myją się, przebierają i siadają przy głośniku lub przeglądają różne pisma. Sołtys prenumeruje bowiem trzy dzienniki, dwa tygodniki literackie, dwa kobiece i wszystkie ważniejsze pisma rolnicze. Zarówno urządzenie mieszkania jak i sposób podania kolacji, do której mnie zaproszono świadczą, iż do-

z dyferencjałem i zawieszanie przednich kół. Dalej oczekiwały na zmontowaną już maszynę koła oraz części uzupełniające, jak chłodnica, zderzaki itp.

Wielką jest hala montowni żerańskiej fabryki. Ale droga montowanego samochodu poprzez tę halę dłuższa jest niż każdy z jej wymiarów. Dłuższa — bowiem trzykrotnie przebiegać ją będzie samochód po „monorelsach” — szynach z podwieszonymi uchwyty, taśmach transporterów, umieszczonych na różnej wysokości, po drewnianej powierzchni transportera podłogowego, z którego droga prowadzi samochód już na własnych kołach i o własnych siłach wprost na tor doświadczeni. Na tym nie kończy się jednak owa droga, bowiem samochód wrócić musi jeszcze na halę, gdzie zostaną usunięte wszystkie niedokładności montażu, które ujawni jazda po torze, zaopatrzone w różne rodzaje nawierzchni.

I oto z FSO przekazano meldunek, iż wóz „Warszawa M-20” oznaczony numerem produkcyjnym 000001 opuścił żerańską taśmę. Pierwszy etap życia FSO został zakończony. Fabryka przystąpiła do seryjnego montażu.

Tysiące części kryje w sobie lśniąca karoseria wozu. Silnik i inne części mechaniczne samochodu zrobione są ze stali różnych gatunków, miedzi, bromu i aluminium. Na nadwozie zaś składa się stal, blacha, wysokogatunkowe drzewo, sztuczny kauczuk, masy plastyczne, szkło, guma, skóra, tkaniny, karton do izolacji cieplnej i wiele, wiele innych aż do trawy morskiej i puchu ptasiego.

Następne hale, przeznaczone już

do samodzielnej produkcji, stały się z kolei przedmiotem troski budowniczych Żerania. Coraz wyżej wznosiły się mury hal numer 2 i 3.

Ze Związku Radzieckiego nadchodzą nowe maszyny — obrabiarki, prasy oraz wszystkie urządzenia niezbędne do samodzielnej produkcji samochodów. Życie Żerania wkraczało w nowe stadium.

Silniki dla „Warszawy” będą produkowane całkowicie w kraju. Do taśmy montażowej będą one tak samo, jak most tylny i mechanizm kierowniczy miały krótszą drogę niż dotąd z Gorkiego. Oto po prostu przewędrują one kilkadziesiąt metrów z innej hali. Coraz to bardziej „żerańska” stawać się będzie nasza „Warszawa”.

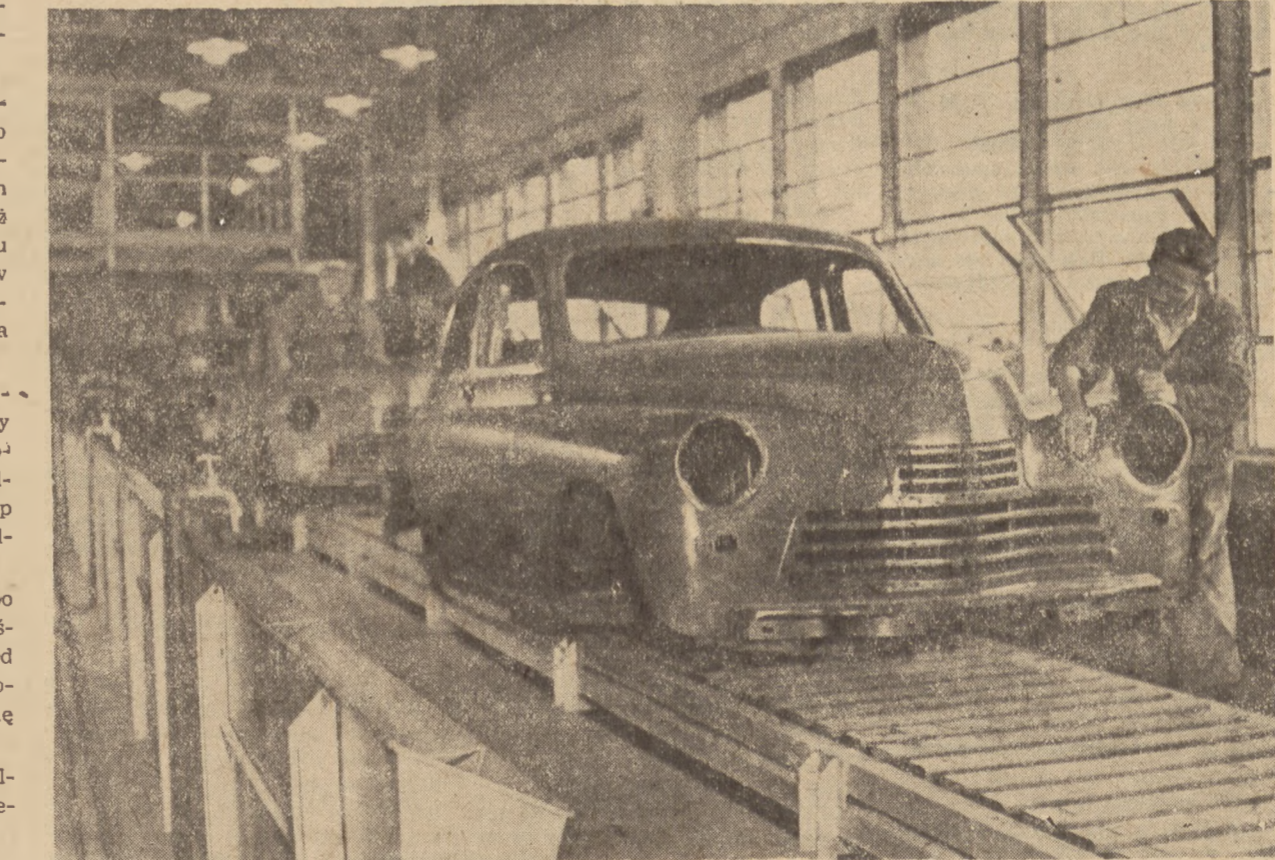
— Termin uruchomienia produkcji silników przyrzekli robotnicy przyspieszyć o dwa tygodnie. Pojstanowiono również, drogą specjalnego szkolenia powiększyć zastęp fachowców obznajmionych dokładnie z obsługą nowych maszyn.

Zwiększając coraz bardziej tempo pracy, nie można było równocześnie zapominać i o jakości. Od pierwszej już chwili nowouruchomiony dział powinien wykazać się pierwszorzędną produkcją.

Termin uruchomienia działu silnikowego ustalono na dzień 20 września.

Sprawa wyprodukowania silnika samochodowego całkowicie w Polsce była zbyt pasjonująca, aby nie porwać za sobą młodej, pełnej entuzjazmu załogi. Wspaniałym przykładem ofiarności i obowiązkowości był dla reszty szlifierz Kazimierz Kielek, który nie tylko podjął ogólne zobowiązanie wykonania

planu wrześniowego w 20 dni, ale postanowił 6-ty rok planu sześciolletniego wykonać do dnia 25 października 1953 r. Piąty rok planu wykonał bowiem do 25 kwietnia ubiegłego roku. Wiele pomysłowości musiał włożyć Kielek przy wykony-



„Warszawa” na taśmie

waniu swych zadań, walcząc o każdą godzinę, każdą minutę zaoszczędzonego czasu. Zaobserwowany przezeń fakt możliwości kilkakrotnego używania tarcz szlifierskich o tym samym profilu pozwalał na

zaoszczędzenie czasu niezbędnego dotąd na każdorazowe profilowanie tarczy.

Jednocześnie zauważył on również, że w oparciu o zasadę noża Kolesowa tarczę dostosować można do zdejmowania wióra nawet gru-

meldunek o wykonaniu planu miesięcznego w 101,5 proc. W dwa dni później pierwszy silnik samochodowy seryjnej już, polskiej produkcji objeżdżał na specjalnym wózku oddziały fabryki, dając swym pojawieniem się dowód sukcesu, który

bości 1 mm. W związku z możliwościami tak dużej oszczędności czasu, Kielek postanowił pracować na dwóch maszynach jednocześnie.

17 września Żerań przeżył swój wielki dzień. Wysłano pełen dumy

zakończył jeszcze jeden etap w rozwoju zakładów. Pracownicy FSO doznawali nie tylko uczucia zwykłej, ludzkiej radości, ale pełni byli również zawodowej dumy. Ręce polskiego inżyniera i robotnika wy-

decyja żerańskich zakładów nabiera pełnego znaczenia w świetle wyciecznych IX Plenum KC PZPR. Na szerokim froncie walki o lepsze jutro nie zabrakło FSO.

DZIS I JUTRO

NARODZINY MISTRZA

(Dokończenie ze str. 3).

siącach ma już 90 kg wagi — bekon.

Dochodzimy do krów. Tłuste, czyśto utrzymane, jedna przy drugiej pasą się w zielonej mieszance ze słodkiego łubin, peluski i innych roślin motylkowych, która im sięga po kolana. Kalemba i Murzyna charakteryzują się szczególnie dużymi wymionami.

— No dobrze, a jak skończy się okres zielonego pastwiska, to co im dajecie?

— Wszystko: słomę, siano, aie najczęściej pasz mlekopędnych, jak kiszonki, otręby, kuchenki. Zapomniałam panu pokazać, mamy przy oborze tzw. silosy, cementowe doły, w których konserwujemy na zimę liście buraczane, kapuściane i wszelkie mieszanki. Zapewnia to krowom dobre wyżywienie do wiosny.

— Słownie, a kto was tego wszystkiego nauczył?

— Kto, śmieszne pytanie... Nie wyobrażam sobie gospodarza, żeby o tym nie wiedział, tego nie stosował. Przecież walkuje się i omawia te wszystkie zagadnienia w różnych ksiązkach i pismach rolniczych nie od dziś...

Otóż i tajemnica wysokiej mleczności, sekrety współczesnych czarownic. Zasada bardzo prosta: „dać krowie, to i krowa da”. — Wiadomo o tym nie od dziś... Ale dawniej, zanim wiejska kobieta nabrała doświadczenia w racjonalnym żywieniu krów — była już zwykła stara i brzydka, posiadano ją o kontakt z siłami nieczystymi — zwano po prostu czarownicą — karano publicznie.

Dziś te sekrety czarownic dostępne są dla wszystkich. W Osuszu obok mądrych parobków i starszych niewiast znają je również młode dziewczęta — uzyskując te same sukcesy. Państwo Ludowe dbając o podniesienie hodowli, co jest równoznaczne z podniesieniem produkcji rolnej i podniesieniem dobrobytu wsi — nadaje im listy pochwalne, wysokie odznaczenia i zaszczytne miano przodowników.

Rosikowie za dobrze postawioną hodowlę zdobyli w ciągu ostatnich lat 4 dyplomy uznania, a ich niedaleka sąsiadka Helena Synowiec aż 7. A na tegorocznych uroczystościach dożynkowych odznaczona została srebrnym krzyżem za usługi. Odznaczona za to, że pracując na swoim 9 hektarowym gospodarstwie tylko z córką — zbiera przeciętnie po 30 q zboża z hektara, ma w chlewie 25 sztuk świń, a w oborze 9 krów o wysokiej mleczności. Pisano o tym wielokrotnie w prasie, mówiono przez radio i nikt jej z tego powodu większego podatku nie wymierza, czego tak bardzo lekają się Majdanie.

Mieszkańcy Majdanu, Zabytowa, Kalinówki i innych wsi w lubelskich — gospodarujący na żyznych łąkach — uważają, iż wymiar odstawy mleka po 140 litrów z ha rocznie — a nie od krowy nie jest słuszny, bo „hektary się nie doją” — i dlatego mają duże zażalenia.

Mieszkańcy wsi Osusz gospodarujący na piaskach — wykonują tę normę zwykle w ciągu miesiąca, a przez rok niekiedy, jak Rosikowie, Synowiec i inni odstawiają po 2 tys. litrów z hektara. U nich właśnie hektary się doją, mimo że są chude, piaszczyste, a nie leśne.

A czy te „sekrety”, które przysparzają wymienionym tyle korzyści i zaszczytów — zamknięte są przed innymi?

Nie, wszystkie gromady i wszyscy rolnicy w Polsce mogą z nich korzystać na takich samych warunkach i warunkach. Ale jak ich ku temu nakłonić — oto jest pytanie...
Józef Majkut (zdjęcia autora)

*) Patrz reportaż „Zmory żyznych dolin”, „Dziś i Jutro” Nr 47.

LEON Necel był nieduży, szczupły, o przedziwnie błękitnych oczach, odstających uszach i wiecznie splecionej czuprynie barwy dojrzalego zboża. Był taki sam jak i wszyscy jego rówieśnicy, dobiegający wówczas 15 roku życia, tak że nawet na zewnątrz niewiele się od nich różnił. Wyobraźcie więc sobie popularnego Kaszuba w lnianych płóciennych portkach, sięgających niezawiele poza kolana, ściągniętej pod szyję koszuli i szerokie butach z wywinętymi jak mankiety cholewami.

Tak właśnie wyglądał Necel przed 25 laty, kiedy to już jako młody chłopiec ślezał godzinami nad miarowo obracającym się garncarskim kołem. Cieżka to była praca i niemalże trzeba było w nią włożyć wysiłku, aby niekształtne bryłki gliny zamieniały się w lśniące gładką polewą garnuszki. Ale chłopak był zdolny, a poza tym posładał w palcach o delikatne wyczuć, niezbędne w pracy ceramika - artysty. Dlatego robota szła mu mechanicznie i, mimo że Leon Necel liczył i sobie zaledwie piętnaście lat,

zdecydowany, „wszystko byle nie glina” — trwał uparcie w niezłomnym postanowieniu. A tu, jak na złość, miał zręczne palce i robota szła dobrze, łatwo. Wprawdzie zdarzało się czasem, że coś ulepił z przyjemnością, ale to było tylko czasem, jak go wzięła akurat ochota.

Ojciec jednak nie zważał i zupełnie na grymasy chłopaka. Zaledwie wyczuł u syna spryt do roboty w warsztacie, nie było już mowy o innym zajęciu. Pięć, sześć, siedem i więcej godzin dziennie potrafił go trzymać przy sobie, jak na sznurku. Kładł do głowy, wskazywał, tłumaczył, krzyczał i za wszelką cenę usiłował wzbudzić w nim zamiłowanie do gliny. W wyobraźni chłopaka przesuwali się cały korowód najbardziej oddanych swej pracy garncarzy z siedmiu pokoleń Necelów. Nie brakło w nim nawet zaskórnionych babek, które wiele lat temu przyczyniły się do tworzenia pięknych, o lśniących polewie naczyniach, malując na nich barwne, ludowe wzory. Myśląc o nich wszystkich Leon zaczynał niechętnie spoglądać na swoją młodszą siostrę Stefkę, która już teraz z ochotą zabierała się do pedzelka i farb, coraz częściej towarzysząc ojcu w warsztacie.

Ale myliłby się ten, kto by przypuszczał, iż młody garncarz pracuje z chęcią i widzi w lepieniu jakąkolwiek przyjemność.

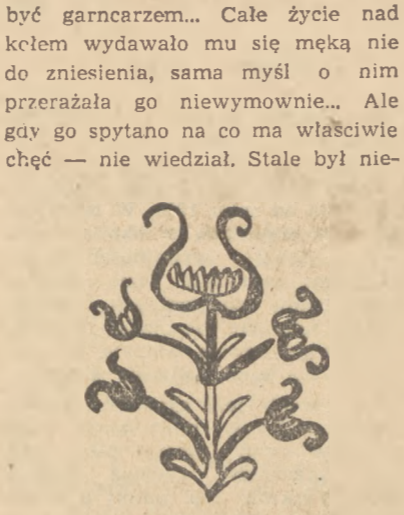
Necel nienawdził garncarstwa. Zapach mokrej gliny i miarowe uderzenia koła znane chłopcu już od pierwszych dni życia — szybko mu obrzydły. Za żadną cenę nie chciał zostać garncarzem, pomimo że taki właśnie zawód wybrał dla niego ojciec — garncarz z dziada pradziada, Kaszuba rozmiłowany w swej sztuce niemal do fanatyzmu, któremu nawet na widok gliny trzęsły się ręce z ochoty do lepienia. Do tego — stary Necel był uparty i żadne prośby syna o zaniechanie garncarskiej roboty nie trafiały mu do uszu. Ileż to razy Leon próbował nawet przez matkę dotrzeć do jego uczuć i skłonić do zmiany twardej decyzji! Nie chciał

być garncarzem... Całe życie nad kołem wydawało mu się męką nie do zniesienia, sama myśl o nim przerażała go niewymownie... Ale gdy go spytano na co ma właściwie ochotę — nie wiedział. Stałe był nie-wspinała myśl:

— A może by tak wziąć się do roboty i polepić wszystkie garnki bez dna? Może wówczas ojciec zrozumie, że garncarstwo to nie dla mnie robota?

Wprowadzenie niezwyklego pomysłu w czyn nie trwało długo. Chłopak z miejsca zabrał się do roboty i przez dobre kilka godzin pracowało pochylał się nad kołem garncarskim. Ale ile razy pierwsza faza formowania naczynia dobiegała końca, tyle razy na upartej twarzy młodego Kaszuby ukazywał się grymas przekory. Szybkim ruchem mocniej wciskał palce w glinienny walec aż do dna — do momentu wycucia wysiłkowej powierchni koła. Wówczas odcinował ręce od gliny i z zadowoleniem maczał je w stojącej obok kadzi z wodą. Półka zapełniała się coraz bardziej — naczynia zdawały się mnożyć w oczach.

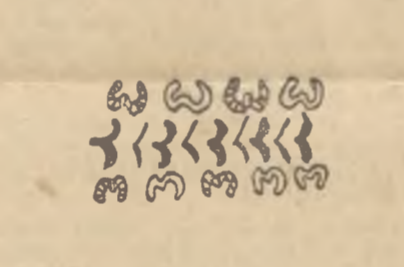
I kto wie, czy pochłonięty swym pomysłem Leon nie pracowałby tak do późnej nocy, gdyby nie skrzyknięcie drzwi warsztatu. W chłopcu wszystko nagle zamario. Świeżo ulepiony dzbanek znalazł się z



Tulipan duży

zdecydowany, „wszystko byle nie glina” — trwał uparcie w niezłomnym postanowieniu. A tu, jak na złość, miał zręczne palce i robota szła dobrze, łatwo. Wprawdzie zdarzało się czasem, że coś ulepił z przyjemnością, ale to było tylko czasem, jak go wzięła akurat ochota.

Ojciec jednak nie zważał i zupełnie na grymasy chłopaka. Zaledwie wyczuł u syna spryt do roboty w warsztacie, nie było już mowy o innym zajęciu. Pięć, sześć, siedem i więcej godzin dziennie potrafił go trzymać przy sobie, jak na sznurku. Kładł do głowy, wskazywał, tłumaczył, krzyczał i za wszelką cenę usiłował wzbudzić w nim zamiłowanie do gliny. W wyobraźni chłopaka przesuwali się cały korowód najbardziej oddanych swej pracy garncarzy z siedmiu pokoleń Necelów. Nie brakło w nim nawet zaskórnionych babek, które wiele lat temu przyczyniły się do tworzenia pięknych, o lśniących polewie naczyniach, malując na nich barwne, ludowe wzory. Myśląc o nich wszystkich Leon zaczynał niechętnie spoglądać na swoją młodszą siostrę Stefkę, która już teraz z ochotą zabierała się do pedzelka i farb, coraz częściej towarzysząc ojcu w warsztacie.



Łuska rybia

powrotem w bezkształtną masę gliny. — Co będzie, jak ojciec naprawdę się rozkołysa? — błysnęła mu niespokojna myśl. Nie przerywając pracy pochylał się jeszcze bardziej nad rozkołysanym kołem udając pochłoniętego pracą. W rzeczywistości łowił jednak uchem najbliższy ojcowski krok. Wyczuł, że ojciec podszedł do zapelnionej półki i serce mu się ścisnęło. Odwrócił głowę właśnie w chwili, gdy pierwszy z brzegu garnuszek znalazł się w rękach starego Necla. Potem przyszła kolej na drugi, trzeci, potem czwarty... Wszystkie bez dna! Dalej Leon nie pamiętał jak to się stało, gdy nagle cała sterta dopiero co ulepionych naczyń wyśladowała na jego głowie... Ojciec wpadł w szal.

— Oboczisz, lorbasu!*, jo ce twoji czortowiczi wergle!**) ze tba wenekom! I bandiesz garncarzem — huknął.

Od tego momentu minęło przeszło dwadzieścia pięć lat. Leon Necel skończył 4 klasy szkoły podsta-

powrotem w bezkształtną masę gliny. — Co będzie, jak ojciec naprawdę się rozkołysa? — błysnęła mu niespokojna myśl. Nie przerywając pracy pochylał się jeszcze bardziej nad rozkołysanym kołem udając pochłoniętego pracą. W rzeczywistości łowił jednak uchem najbliższy ojcowski krok. Wyczuł, że ojciec podszedł do zapelnionej półki i serce mu się ścisnęło. Odwrócił głowę właśnie w chwili, gdy pierwszy z brzegu garnuszek znalazł się w rękach starego Necla. Potem przyszła kolej na drugi, trzeci, potem czwarty... Wszystkie bez dna! Dalej Leon nie pamiętał jak to się stało, gdy nagle cała sterta dopiero co ulepionych naczyń wyśladowała na jego głowie... Ojciec wpadł w szal.

— Oboczisz, lorbasu!*, jo ce twoji czortowiczi wergle!**) ze tba wenekom! I bandiesz garncarzem — huknął.

Od tego momentu minęło przeszło dwadzieścia pięć lat. Leon Necel skończył 4 klasy szkoły podsta-

powrotem w bezkształtną masę gliny. — Co będzie, jak ojciec naprawdę się rozkołysa? — błysnęła mu niespokojna myśl. Nie przerywając pracy pochylał się jeszcze bardziej nad rozkołysanym kołem udając pochłoniętego pracą. W rzeczywistości łowił jednak uchem najbliższy ojcowski krok. Wyczuł, że ojciec podszedł do zapelnionej półki i serce mu się ścisnęło. Odwrócił głowę właśnie w chwili, gdy pierwszy z brzegu garnuszek znalazł się w rękach starego Necla. Potem przyszła kolej na drugi, trzeci, potem czwarty... Wszystkie bez dna! Dalej Leon nie pamiętał jak to się stało, gdy nagle cała sterta dopiero co ulepionych naczyń wyśladowała na jego głowie... Ojciec wpadł w szal.

— Oboczisz, lorbasu!*, jo ce twoji czortowiczi wergle!**) ze tba wenekom! I bandiesz garncarzem — huknął.

Od tego momentu minęło przeszło dwadzieścia pięć lat. Leon Necel skończył 4 klasy szkoły podsta-

powrotem w bezkształtną masę gliny. — Co będzie, jak ojciec naprawdę się rozkołysa? — błysnęła mu niespokojna myśl. Nie przerywając pracy pochylał się jeszcze bardziej nad rozkołysanym kołem udając pochłoniętego pracą. W rzeczywistości łowił jednak uchem najbliższy ojcowski krok. Wyczuł, że ojciec podszedł do zapelnionej półki i serce mu się ścisnęło. Odwrócił głowę właśnie w chwili, gdy pierwszy z brzegu garnuszek znalazł się w rękach starego Necla. Potem przyszła kolej na drugi, trzeci, potem czwarty... Wszystkie bez dna! Dalej Leon nie pamiętał jak to się stało, gdy nagle cała sterta dopiero co ulepionych naczyń wyśladowała na jego głowie... Ojciec wpadł w szal.

— Oboczisz, lorbasu!*, jo ce twoji czortowiczi wergle!**) ze tba wenekom! I bandiesz garncarzem — huknął.

I dlatego w chłopcu narastał coraz większy żal do ojca.

Kiedy któregoś dnia stary Necel wybrał się do sąsiedniej wioski po glinę, Leonowi wpadła do głowy wspomniana myśl:

— A może by tak wziąć się do roboty i polepić wszystkie garnki bez dna? Może wówczas ojciec zrozumie, że garncarstwo to nie dla mnie robota?

Wprowadzenie niezwyklego pomysłu w czyn nie trwało długo. Chłopak z miejsca zabrał się do roboty i przez dobre kilka godzin pracowało pochylał się nad kołem garncarskim. Ale ile razy pierwsza faza formowania naczynia dobiegała końca, tyle razy na upartej twarzy młodego Kaszuby ukazywał się grymas przekory. Szybkim ruchem mocniej wciskał palce w glinienny walec aż do dna — do momentu wycucia wysiłkowej powierchni koła. Wówczas odcinował ręce od gliny i z zadowoleniem maczał je w stojącej obok kadzi z wodą. Półka zapełniała się coraz bardziej — naczynia zdawały się mnożyć w oczach.

I kto wie, czy pochłonięty swym pomysłem Leon nie pracowałby tak do późnej nocy, gdyby nie skrzyknięcie drzwi warsztatu. W chłopcu wszystko nagle zamario. Świeżo ulepiony dzbanek znalazł się z



Łuska rybia

powrotem w bezkształtną masę gliny. — Co będzie, jak ojciec naprawdę się rozkołysa? — błysnęła mu niespokojna myśl. Nie przerywając pracy pochylał się jeszcze bardziej nad rozkołysanym kołem udając pochłoniętego pracą. W rzeczywistości łowił jednak uchem najbliższy ojcowski krok. Wyczuł, że ojciec podszedł do zapelnionej półki i serce mu się ścisnęło. Odwrócił głowę właśnie w chwili, gdy pierwszy z brzegu garnuszek znalazł się w rękach starego Necla. Potem przyszła kolej na drugi, trzeci, potem czwarty... Wszystkie bez dna! Dalej Leon nie pamiętał jak to się stało, gdy nagle cała sterta dopiero co ulepionych naczyń wyśladowała na jego głowie... Ojciec wpadł w szal.

— Oboczisz, lorbasu!*, jo ce twoji czortowiczi wergle!**) ze tba wenekom! I bandiesz garncarzem — huknął.

Od tego momentu minęło przeszło dwadzieścia pięć lat. Leon Necel skończył 4 klasy szkoły podsta-

powrotem w bezkształtną masę gliny. — Co będzie, jak ojciec naprawdę się rozkołysa? — błysnęła mu niespokojna myśl. Nie przerywając pracy pochylał się jeszcze bardziej nad rozkołysanym kołem udając pochłoniętego pracą. W rzeczywistości łowił jednak uchem najbliższy ojcowski krok. Wyczuł, że ojciec podszedł do zapelnionej półki i serce mu się ścisnęło. Odwrócił głowę właśnie w chwili, gdy pierwszy z brzegu garnuszek znalazł się w rękach starego Necla. Potem przyszła kolej na drugi, trzeci, potem czwarty... Wszystkie bez dna! Dalej Leon nie pamiętał jak to się stało, gdy nagle cała sterta dopiero co ulepionych naczyń wyśladowała na jego głowie... Ojciec wpadł w szal.

— Oboczisz, lorbasu!*, jo ce twoji czortowiczi wergle!**) ze tba wenekom! I bandiesz garncarzem — huknął.

Od tego momentu minęło przeszło dwadzieścia pięć lat. Leon Necel skończył 4 klasy szkoły podsta-

powrotem w bezkształtną masę gliny. — Co będzie, jak ojciec naprawdę się rozkołysa? — błysnęła mu niespokojna myśl. Nie przerywając pracy pochylał się jeszcze bardziej nad rozkołysanym kołem udając pochłoniętego pracą. W rzeczywistości łowił jednak uchem najbliższy ojcowski krok. Wyczuł, że ojciec podszedł do zapelnionej półki i serce mu się ścisnęło. Odwrócił głowę właśnie w chwili, gdy pierwszy z brzegu garnuszek znalazł się w rękach starego Necla. Potem przyszła kolej na drugi, trzeci, potem czwarty... Wszystkie bez dna! Dalej Leon nie pamiętał jak to się stało, gdy nagle cała sterta dopiero co ulepionych naczyń wyśladowała na jego głowie... Ojciec wpadł w szal.

— Oboczisz, lorbasu!*, jo ce twoji czortowiczi wergle!**) ze tba wenekom! I bandiesz garncarzem — huknął.

Od tego momentu minęło przeszło dwadzieścia pięć lat. Leon Necel skończył 4 klasy szkoły podsta-

powrotem w bezkształtną masę gliny. — Co będzie, jak ojciec naprawdę się rozkołysa? — błysnęła mu niespokojna myśl. Nie przerywając pracy pochylał się jeszcze bardziej nad rozkołysanym kołem udając pochłoniętego pracą. W rzeczywistości łowił jednak uchem najbliższy ojcowski krok. Wyczuł, że ojciec podszedł do zapelnionej półki i serce mu się ścisnęło. Odwrócił głowę właśnie w chwili, gdy pierwszy z brzegu garnuszek znalazł się w rękach starego Necla. Potem przyszła kolej na drugi, trzeci, potem czwarty... Wszystkie bez dna! Dalej Leon nie pamiętał jak to się stało, gdy nagle cała sterta dopiero co ulepionych naczyń wyśladowała na jego głowie... Ojciec wpadł w szal.

— Oboczisz, lorbasu!*, jo ce twoji czortowiczi wergle!**) ze tba wenekom! I bandiesz garncarzem — huknął.

Od tego momentu minęło przeszło dwadzieścia pięć lat. Leon Necel skończył 4 klasy szkoły podsta-

powrotem w bezkształtną masę gliny. — Co będzie, jak ojciec naprawdę się rozkołysa? — błysnęła mu niespokojna myśl. Nie przerywając pracy pochylał się jeszcze bardziej nad rozkołysanym kołem udając pochłoniętego pracą. W rzeczywistości łowił jednak uchem najbliższy ojcowski krok. Wyczuł, że ojciec podszedł do zapelnionej półki i serce mu się ścisnęło. Odwrócił głowę właśnie w chwili, gdy pierwszy z brzegu garnuszek znalazł się w rękach starego Necla. Potem przyszła kolej na drugi, trzeci, potem czwarty... Wszystkie bez dna! Dalej Leon nie pamiętał jak to się stało, gdy nagle cała sterta dopiero co ulepionych naczyń wyśladowała na jego głowie... Ojciec wpadł w szal.

— Oboczisz, lorbasu!*, jo ce twoji czortowiczi wergle!**) ze tba wenekom! I bandiesz garncarzem — huknął.

Hej morze, morze — lubotni morzel

Dze twoje grańce, dze twój kuńc?

Skądka ta twoja wjalgosc so bjerze,

Czej nama dosz na strąd swój duńc?

Hej, morze, morze te nasz morze

Czemu sę zibjesz wcig dreżisz?

Dlocze roz sztormem na nas sę gorzisz.

To znoi tak peszną gładą sklisz?

Hej morze, morze, zibjaci morze,

Na twojich wałach naji moi,

Głęboką bródzą czóin po ce orze

Zdzinac za ce nóm nje mdze żol.

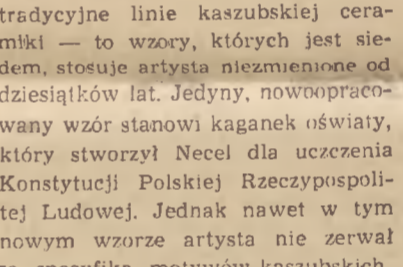
*) Jan Trepczyk — nauczyciel z Wejherowa, współczesny kaszubski poeta regionalny; zasadniczym motywem jego poezji jest piękno kraju rodzinnego, urok i groza żywiołu morskiego oraz praca kaszubskiego chłopca i rybaka Jan Trepczyk jest również zamierzonym zbieraczem kaszubskich pieśni urobowych i kompozytorem wielu pieśni opartych na motywach ludowych, wydał też „Kaszubski Pjesnjok” (Śpiewnik kaszubski).

Objaśnienie trudniejszych słów:

lubotni — ukochane, strąd — brzeg, zibjesz — kolyszesz znoi — znowu, gładą — gładką powierzchnią, wałach — łańcuch, moi — miejsce, czóin — łódź rybacka, dzinac — zginać.

wowej i 3-miesięczne studia w Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Dziś jest jedynym przedstawicielem tak tradycyjnego dla sztuki ludowej Kaszub artystycznego garncarstwa, bowiem istniejący jeszcze kilka lat temu ośrodek ceramika Roberta Meissnera zanikał obecnie całkowicie produkcji ceramiki artystycznej, przenosząc się wyłącznie na garncarstwo użytkowe. Chcąc więc mówić o pięknych ludowych naczyniach zdobnych w kaszubskie wzory — można mówić jedynie o produkcji Leona Necla.

Leon Necel — to obecnie czterdziestokilkuletni mężczyzna, który już nie pamięta swej dawnej niechęci do gliny i koła, który jest dziś prawdziwie rozkochanym w swej sztuce artystą. Na uwagę zasługują fakt, że nie jest on samodzielnym twórcą, który opracowuje rzeczy nowe, ale raczej odtwórcą tego, co ustanowili jego przodkowie. O ile jednak potrzeby życia, ściślej mówiąc potrzeby użytkowe sprawiają, że Necel zaczyna odstępować od swej formy i tworzy nowe kształty w oparciu jednak o tradycyjne linie kaszubskiej ceramiki — to wzory, których jest siedem, stosuje artysta niezmiennie od dziesiątków lat. Jedyny, nowo opracowany wzór stanowi kaganek oświaty, który stworzył Necel dla uczczenia Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Jednak nawet w tym nowym wzorze artysta nie zerwał ze specyfiką motywów kaszubskich. Umieszczona na łożdzyce, po bokach której wyrastają liście bzu niebieska miseczka z wymykającym się z niej językiem ognia, nie tracąc bynajmniej charakterystycznych linii kaganaka przypomina niezwykle oryginalną formę kwiatu. Kto wie, czy ten pierwszy nowo opracowany przez artystę wzór nie jest zapowiedzią jego dalszych, twórczych inwencji, które w przyszłości, nie łamiąc tradycyjnych linii, wzbogaciłyby ceramikę kaszubską.



Lilia

większy, pomimo że w zasadzie używane są jedynie trzech kolorów. Toteż kiedy najpiękniejsze wyroby Necla wychodzą z pieca, trudno oderwać od nich zachwycony wzrok — urzekają barwą, kształtem, polyskiem glazury. Bogactwo artystycznej sztuki kaszubskiej staje w całej swej krasie

Wiesława Ratajczyk

Podczas drugiej swojej wizyty w Chmielnie zainteresowałam się pochodzeniem owych siedmiu tradycyjnych wzorów (lilia, różdżka bzu, tulipan mały i duży, łuska rybia, wianek kaszubski i gwiazda kaszubska) i ciekawe jest, że Necel uzasadnił je przede wszystkim

SPÓJRZENIA NA BERLIN

(Dokończenie ze str. 1)

ki odbywa się właśnie w Berlinie, gdzie bijący najjaskrawiej w oczy absurd sztucznego podziału Niemiec będzie stale przypominał ministrom spraw zagranicznych, jak wielką ciążą na nich odpowiedzialność.

ROZPOCZĘCIE konferencji berlińskiej zbiegło się z trzecią rocznicą podpisania we Frankfurcie nad Odrą aktu o wykonaniu wytyczenia granicy między Polską a Niemcami. 27 stycznia 193... wykonany został układ podpisany 6 lipca 1950 r. w Zgorzlecu.

W ciągu minionych trzech lat znacznie poszerzył się kontakt między narodem polskim i niemieckim, pogłębiła się przyjazna współpraca. W oparciu o te dobre doświadczenia i w przekonaniu, że konferencja berlińska otworzy drogę do realnego odprężenia międzynarodowego, życzyliśmy całemu narodowi niemieckiemu, by rychło uzyskał zjednoczenie i niepodległość w granicach ustalonych w Poczdamie, by utrwalając u siebie pokojowe i demokratyczne stosunki zajął godne siebie miejsce wśród wolnych narodów Europy.

— Wzór łuski — to chyba proste — tłumaczył, ujmując jednocześnie w rękę ozdobił tym wzorem dwa ryb i w jeziorach, prawda? Stąd też i pochodzenie wzoru. No, a gwiazda kaszubska to oczywiście meduza morska. O ile chodzi o motyw różdżki bzu, to po prostu wywodzi się on stąd, że niemal przed każdym domem u nas na Kaszubach rosnie... bez...

— A lilia? Wzór lilii nie został wcale zaczerpnięty z ogrodowego kwiatu, jak można by przypuszczać, ale z naszej lilii wodnej, tak często

*) łobuzie
**) żarty

Doninik Horodyński

BAJKA KASZUBSKA (POWJOSTKA)

O głupim co strachu njimjoł

PJERWIJ to panowie i szlachcece mjeie wjalazi prawo i njeroz se zdarzelo, ze bjeadnich ledzi krziwdzele. A za to njeaden dostol se do pjekta, a jinni muszele dluzi lata pokutowac na zemni jako straszce, jaz cho przesza i juch webawjel. Ale na to nje kozdi se odwozel, bo to muszol bec dzirszczi chlop.

Zdarzelo se tede, ze jeden ojc mjol dwuch senow, jeden bel mziari, a ten dredzi, tego mjele za glupiego. Zele oni barzo bjeadno, a jak se na bjeadze rozgorzele, to zdorzelo se, ze i nabjile glupimu. Ale ten glupi bel przetim opsci chlop i nje bojol se niczego. Tak ten starsi so roz uwozol, ze rownak muszi mu roz strawu napedzce. Jak nen glupi roz pozno szez a pola do chcece, tak jego brat wadszel so wedziel w gębe i udajac zligo decha, weszed mu na drogę. Ale nen glupi se nje zlak, le klasnal go czijem w leb, jaz on wszeteci gwjode wjidzol. Tero ten mziari zaczoł na njego szkalowac, ze go bjię, ale glupi rzek:

— Njimog te zare godac, ze te tu jes? Belbem ce dot poku Jo meszolo, ze to mje zli dech zastajpel droge.

Ale nen mziari pobieg zare wprzodk do dom i uskarzel se do ojca. Ze ten glupi go bjeł. Tak ojc se srodze rozgorzel i wenekol tego glupigo z chcece precz.

Tak nen glupi wzal mjech pod poche i szed. Kureszce on przeszed w jednę wjes. W karczmje go se

karczmorz zare pitoł, co on za jeden je, a glupi odrzek:

— Jo jidk stroszka szezak!

— Tu we use njima stroszkow — rzek karczmorz — ale sztek za wnsj stoi opuszczoni folwark. W njim sa podobno wjedzi sposobe, ale on stoi pust. Tam nicht nje mjeszko, bo tam strazi, a kozdi umrze z werzasu!

— To jo tam pude! — rzek nen glupi.

Glupi prosel, zebe mu karczmorz dot porę bulewkow i pernę krepow w mjech i mu drogę do njego folwarku pokozol.

Karczmorz go tez zaprowadzel prosto do kuchni tego folwarku i dot nozka pon. A nen glupi tam ostol. Ale se njak nje bojol. Weszelo so propeczke i zaczoł moltech gotowac. Jak on bel w nolepszim gotowanju, tej z gore konjina cos wrzeszczel:

— Ju jo lece!

— Nje lec jesz! — zawoöl glupi — Bo jo so strawę warzę i rozwalisz mje odzi!

Tak za sztol znowu zawreszczalo:

— Ju jo lece!

— Pożdej ze jesz chwile! — woöl glupi. — Jesz jo nje mom strawe gotow!

Ale ju w tim pól chlopa z nogama zlecol z konjina na ognisko. Ale glupi se njak nje zlak, le werzucel z koninaka nego pól chlopa na kuchnje i patrzy dalij swigo gotowanji. Za chwile le drego polowa chlopa z glową spadla z gore na komjink.

— Moges tez kask poczeckac! — rzek glupi i cesnal dregę polowa na

kuchnje. A tej zaczoł jesc swoję strawę. Tero dopjerze wjidzi, ze w kuchnji stoi chlop jak stolem, z brodą jaz ao pasa. Ale on se njick nje bojol i rzek:

PRZYMIERZE Z NOWĄ ZIEMIĄ

„Jokkmokk“ Tadeusza Brezy

STALI naprzeciw siebie, nachmurzeni, żil. Chochół aż poczerwieniał z irytacji. Rozstawił szeroko nogi, ręce wsadził w kieszenie, zaczętnie spoglądał na Durawę. Chucha, pokryta czarnym zarostem twarz uśmiechała się kpiąco.

— Mówię wam — krzyczał — że ni jakiej skrzynki nie wygrzebałem! Mówię wam chyba, jak człowiekowi! Mówię po polsku, a nie po niemiecku! Ni jakiej skrzynki! Głupi by już rozumiał!

Durawa westchnął. Spoglądał siwiejące wawy, przygarbił się jeszcze bardziej. Oczy miał wyblakłe, zmęczone, obramowane siateczką gęstych zmarszczek.

— Tę to nie chce być mój za darmo — zaczął cicho — sprzedajcie. Powiedzieliście, że zapłacę...

Chochół przerwał gwałtownie: — Po co tu po próżnicy język strzępić? Z cieleciem by się już dogadał, a z wami nie można przyjąć do ładu. Ja mówię, że nie mam. To znaczy, że nie mam! No i koniec!

Odwrocił się i poszedł w stronę zagrody. Stawiał duże, szerokie kroki, buty grzeły mu w błocie. Przed furtką przystanął.

— A po obejściu mi się więcej nie kręćta, bo jak złapie, to gnaty poprzetracam — krzyknął głośnie.

Durawa stał na środku błotnistej drogi, skulony, samotny. Robił wrażenie człowieka chorego.

Zapadł zmierzch. Nad widoczną w dali wsią Studzienice kładły się zamglone cienie przedwieczera, z obor biegł tęsny porok dojenego bydła. W oknach zapalały się ogniki światła. Powietrze było ciężkie, pełne dżdżu i wilgoci. Prowadzącą od wsi drogą jechał powoli skrzypiący wóz. Kola lgnęły w błocie.

Chochół wszedł w obejście, zajął do obory, potem napoił konia, wreszcie skierował się do mieszkan. Na ganku przystanął. Stąd było widać dokładnie gospodarstwo Durawy. Stało nieco na uboczu, przedzielone szerokim pasmem zaranej ziemi, szyby świeciły silnym odbłaskiem lampy. Chochół wszedł do kuchni.

Panował w niej półmrok, powietrze było kwaśne, pełne zaduchu parowanych obieków. Niska, pomarszczona kobieta skrobała ziemniaki. Na widok męża uniosła głowę:

— Znowu cię zaczepiał?

— Ciężko siadł na ławie.

Taki Durawa choćby. Najbliższy sąsiad. Nawet nie mówi ludzkim językiem. Nie wiadomo: Polak czy nie Polak? Kaszuba — autochton podobno.

Zna ich, tych autochtonów Kaszubów. Bliżsi Niemcom niż Polse. Dobrze im było u Hitlera. Mieli spokój. Nikt ich nie zaczepiał. W wojsku niemieckim służyli, kumali się ze Szwabami. O Polsce ani wspomnieli. Niegodny naród. Mrukliwy, nieufny. Obcego gofowi w tyżce wody utopił.

Nie to, co tam, w kieleckim. Tam dopiero jest Polska.

Im nie było tak, jak autochtonom. Nikt Niemcom nie służył. Ale: „wsie płonęły, jak żagwie... wysiedlenia... walka ciągła, uparta... sabotaż... „leśni ludzie“...“

Nie poddał się naród. Walczył. Cłosem odpowiadał za cios, uderzeniem za uderzenie. Ginęły chłopcy, jak muchy. Ale trwali — listy żadnej nikt nie podpisywał, w „Wehrmachcie“ nikt nie służył.

Dumny był Chochół ze swej kieleckiej ziemi. Dumny był nawet ze śmierci syna, którego Niemcy powiesili na szosie pod Bodzentynem.

Tym właśnie — walką swego syna, cierpieniem swojej wsi, śmiercią ziomków i krewnych — wyższy był od tych Kaszubów.

W Studzienicach, w sklepie starego Ignaca, często można było spotkać Chochół, jak podniecony i zaczepny, usiłował wytłumaczyć chłopom, że Kaszubi to nie Polacy. Jako przykład stawiał Durawę, sąsiada swego.

Po polsku nie mówi, syn był w niemieckiej armii, gospodaruje na szwabski sposób.

Dziwił się Chochół rządowi, że nie wysiedlono tych wszystkich autochtonów. Siedzą tu, na najlepszych gospodarstwach, maszyny mają, meble, rządzą się jak szare gęsi. Lepiej im się nieraz wiedzie niż im, Polakom prawdziwym. Sprawiedliwości nie ma zupełnie.

Szeroko znali Chochół, na nieprzyjacieli, jaką okazywał Kaszubom. Próbowali mu przetłumaczyć. Nie pomagali. Zawzięł się.

— On ma i lepsze gospodarstwo — perorował tym, którzy mieli cierpliwość go słuchać — i maszyny, i ziemię tłuszczej. U mnie same kamienie. A przedtem Niemcom służył, syna miał u Hitlera. Mój Józek był za to w Batalionach Chłopskich razem z Ozgą-Michalskim z

porną ziemię. Kofi szedł z wysiłkiem, Chochół okładał go batem i co chwila odpoczywał. Gdy zakrecał przy gruszy, za którą rozciągało się już pole Durawy — lemieś zażgrzytał, piług wypadł z brzozy. Chochół pomyślał, że to kamień. Schylił się.

Skrzynka. Niewielka, ciemna skrzynka zbita ze zbutwiałych desek. Gdy usiłował ją podnieść — wysypały się z niej jakieś smaty i świstki. Zebrał to wszystko skrzętnie, skończył orkę, szybko wrócił do domu. Długo oglądali z żoną. Zamknęli się w izbie, nawet synowej nie wpuszcili.

Nie było w tej skrzynce niczego ciekawego. Reszki jakiegoś szlاندaru czy proporcja, jakieś polskie odznaki, stare, zaplesniałe fotografie o niemożliwych do rozpoznania twarzach, papiery, listy, legitymacje.

Chochół zaklął, zebrał wszystko i wyrzucił na strych. Wkrótce zapomni o skrzynce. Ale w parę dni później przyszedł do niego Durawa. Zdziwił się i nasrożył jednocześnie.

— Słuchajcie Chochół — powiedział Durawa — prze oraniu we nalezie taką moją skrzynkę. Howo*) w dół, kole pażęci**)... Pod kreszą**)... Jo wiem, co to bęta za skrzynka. Gwesno nima w ni złotca — cze pieniążki. Ko rownak sprzedajcie mnie na skrzenia.

Udał, że nie rozumie, o co Kaszubi chodzi. Durawa powtórzył, starając się mówić bardziej poprawnie po polsku. Chochół długo się namyślał. Przed oczyma zobaczył skrzynkę. Przypomniał sobie, że przejrzał ją tylko pobieżnie. Bóg wie, co mogło być w tych smatach.

— Nie widziałem ni jakiej skrzynki — odburknął. — Nie zawracajta mi głowy...

Durawa nieśmiało ponowił prośbę, ale Chochół był uparty. Nie chciał więcej o tym gadać.

Gdy Durawa wyszedł, Chochół polazł na strych i gorączkowo zaczął przegłądać zawartość skrzynki. Nic nowego nie znalazł w niej, chociaż siedział na strychu do zmierzchu. Zniszczone fotografie, papierzyska, smaty. Wszystko razem tunta kłaków nie warte. Zmiał to ze złością, rzucił w kąć i splunął.

Ale zapomnieć już nie mógł. Nie dał mu Durawa. Gdy tylko spotkał Chochół, ponawiał swą propozycję.

— Dłó waju Chochół, ona do niczego — mówił prosząco — sprzedajcie. Zaptajcie.

— Całe mleczkanie zasmrodzile ty mi szmaciekami — mruknęła.

Stął wpatrzony w ogień. W żrenicach płonęły mu zimne błyski.

— Niech się kopcii! — szepnął. — Raz z tym skończyć!

Od razu się uspokoił. Usiadł z ułga, jak po ciężkiej pracy. Z zadowolaniem pomyślał o Durawie.

„Zośka wróciła późnym wieczorem. Żona powieszona przez hitlerowców syna Chochółów była wysoką, zgrabnie zbudowaną kobietą. Nie zdejmując chustki zawołała:

— Wziem już!

Spojrzał na nią nieufnie.

— Co wiesz? — bąknął Chochół.

— O tej skrzynce, wiecie, o tej, coście ją wyorali jesienią?

Poruszył się niespokojnie. Poczuł jakby lęk.

— No... — wycedził — co wiesz o niej?

Zdjęła chustkę, usiadła przy stole i zaczęła zaczesywać gęste niesforne włosy o złotawym odcieniu.

— Byłam u Rekowskich. Wiecie, za mój niemiecką oni. Oni tu tejsi autochtoni. Zgadali się coś o Durawach. Ten Durawa miał syna...

— Wiem — przerwał Chochół — w wojsku służył. Hitlerowskim wojsku.

— Ale przedtem przed wojną chodził do polskiego gimnazjum w Kwizdnie. Durawę za to hitlerowcy przesładowali. Po szkole wrócił do domu i pracował w polskim związku. U siebie w domu uczył kaszubskie dzieci po polsku. Często w domu Durawów gestapo i żandarmaria robiły rewizję. A z Wehrmachtu uciekli i ukrywali się gdzieś w powiecie chojnickim u krewnych. Akurat, jak ruskie wkraczała, to zgłnął. Z kulomiotu go zastrzelili faższyści. A w tej skrzynce to był jego cały dobytek. Różne pamiątki ze szkoły i pracy w polskim związku. Zakopał ją, jak uciekli z niemieckiego wojska i dlatego pewnie stary Durawa tak szuka jej teraz. Bo to wszystko, co mu zostało po nim...

Zapanowała brzęcząca, kłopotliwa cisza. Chochół siedział sztywno wyprostowany, jakiś nieświsty. Myślał o swoim Józku, powieszonym pod Bodzentynem. Też nie po nim nie zostało. Nawet taka skrzynka.

— Wiecie — Zośka poruszyła się niespokojnie — może mu ją oddać. Ojcu i tak nic z tego, a dla Durawy to przecież pamiątka...

W milczeniu wskazał wzrokiem kuchnię. Zrozumiała. Pochyliła się nad ogniem.

Ogarnięte płomieniem leżały ciemne metalowe odznaki, strzępki czerwonego jedwabiu z osmalonymi brzękami walały się na blasze. Zośka usiadła z powrotem. Nie odywała się więcej.

„Stali naprzeciw siebie, milczący, omiśmieleni. Chochół rozstawił szeroko nogi, unikał starannie wzroku Durawy.

Zapadł zmierzch. Nad drogą nisko zwisało szare niebo, pierwsze krople deszczu spadały na pola. W dali widniała wieś.

Chochół przypomniał sobie: tak samo padał deszcz wtedy, gdy dostał wiadomość o Józku. Nawet nie zapłakał.

Durawa przygarbił się bardziej niż zwykle. Widział wilgotny ranek, śnieg leży jeszcze na polach. Wstał wtedy wcześniej i rznął ścieżkę w stodole. Roworem przyjechał brat z Konarzyn. Gdy Durawa spojrział na niego — już wiedział: syna stracił. Brat mówił: hitlerowskie wojsko oblawiło na ukrywających się i dezertów. Kilku ukrywających się chciało wydostać się z pierścienia oblawy. Szli polem. Buty grzeły w mokrym śniegu, karabin maszynowy zaklekołał. Skoczyli. August Durawa przodem. Karabin maszynowy był trajkotliwie, uparty ogniem. August zakolosał się i padł twarzą w błotnisty śnieg.

I to wszystko. Została skrzynka, której nie mógł odnaleźć...

„Deszcz pada coraz większy. Wieś niki nie przesnuła szaruga. Dachy są mokre z daleka niesie się szum pracującego mlyna.

— Bo widziacie — mówi powoli Chochół — myślałem, że wy Niemiec. Nie widziałem. A mój syn też. W roku 1943. I nic po nim nie mam. Tak, jak wy...

Słowa przychodzą mu z trudem. Głos się rwie, zaczyna.

— I z tą skrzynką też nie chciałem. Tak w złości. Nie mieście żalu...

Durawa unosił zwolna głowę. Oczy zapadły mu w głąb, twarz jest spokojna, bez wyrazu.

— Zulu nie mom — odpowiada — leno je nie jakos. Nie o ne skrzenia, a o wszystko... Ze we nas Kaszobów miele za Młomców. Me se nie zaperle czym me jesme i nie zaboczele, gde je naje dodom***). Ono je w Polsce.

Chochół milczy. Patrzy w ziemię. Droga jest pokryta lślistym, rudawym błotem.

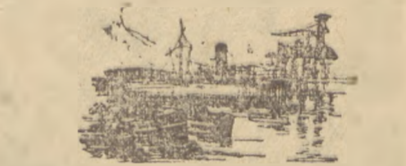
— Pozno, ju fidę... — mówi Durawa i powoli odchodzi.

Chochół długo stoi na drodze. Ręce trzęsą w kieszeniach. Zniszczona kapota nasiąka deszczem.

Przeczytane książki burzają nas lub entuzjasmują, jedne nudzą, inne wspominamy z przyjemnością. Nawet nie akceptując poglądu na świat stojącego o ich podstaw, formującego ich kształt, ich istotę, możemy żyć się z ludźmi, których losy nam przedstawiają



Bohaterów opowiadania Brezy*) musimy polubić. Budzą naszą sympatię swymi prostymi, ludzkimi odruchami. Stary kapitan Haładyn zgrzyliwy, nieco zręczący, choć przecież sumienny, uczciwy i szczerze przywiązany do spraw portu, technik Grudzielski oddany bez reszty swojej pracy a zarazem delikatny i taktowny w stosunku do wychowanego w innych warunkach, wyrosłego i dojrzałego w innej epoce Haładyna, pełni młodzieńczego, trochę naiwnego entuzjazmu junacy serdecznie przywiązani do starej poczciwej Karusowej. W takim ukształtowaniu postaci dopatrywałbym się przejawu jakiejś elementarnej formy humanizmu nakazującej miłość i życzliwość wobec człowieka. — Na tej płaszczyźnie mogą się spotkać ludzie o różnych światopoglądach.



Grudzielski słuchał jego słów z napięciem. Przenikał starego Haładyna na wylot. Szanował go za trud, który sobie zadaje, za ten gwałt dokonywany na własnej myśli, od której chciałby najlepszego światła. Zarazem jednak czuł, że kapitan jest z innej formacji niż on sam. Ze kapitan szczerze chciałby, żeby falochron został uratowany. On natomiast falochron uratować musi.

Centralnym problemem „Jokkmokka“ jest stosunek do piętrzących się przed człowiekiem trudności technicznych. Stary Haładyn ufa zdobytemu doświadczeniu, zdobytej wiedzy, Grudzielski ufa twórczej energii pracujących ludzi, ufa nowatorskiej inicjatywie. Człowiek owdalnie przyrodą. W oparciu o twórczą inicjatywę człowieka dokonuje się ciągły postęp techniczny. Grudzielski nie poprzestaje na dotychczasowej wiedzy fachowców — odwołuje się, jak to ironicznie zauważa Haładyn, „do ludu“, do zespołu pracowniczego. Z tym, co w działalności Grudzielskiego jest zdrowym objawem żywotności i rozwoju, trzeba się zgodzić — z odrzuceniem skostniałej rutyny, z odwagą w atakowaniu trudności, z wiarą w duże a dotąd nie wyszukanie możliwości twórcze tkwiące w oddanej pracy, mimo że nie posiadającym oficjalnego dyplomu, pracownika. Choć z drugiej strony



trzeba przestrzec przed apoteozowaniem entuzjastycznego, dyletantyzmu. Nie zawsze przecież gorący zapal potrafi zastąpić rzetelną wiedzę fachowca.

Literatura o tematyce i problematyce produkcyjnej często okazywała się podatna na „schematyzm“. Breza potrafił tego uniknąć. Jego postaci są „żywe“, pełnokrwiste. Ewolucja starego Haładyna wypadła przekonywająco, psychologicznie prawdziwie. „Bohaterowi pozytywnemu“ Grudzielskiemu udało się uniknąć roli automatu wyrzucającego z siebie powielane frazesy — oddziaływa samą swoją postawą i — czynem. Zapal młodych junaków mało ma wspólnego z robionym „hurraoptymizmem“. Nawet szkodnik gospodarczy komandor Łedyński okazał się raczej tępnym egoistą bez poczucia odpowiedzialności społecznej, budzącym politowanie sorkiem, niż podstępny, chytrym zbrodniarzem skupiającym w sobie wszystkie złe i zwyrodniałe skłonności.

Rozpatrzmy to na materiale fabularnym. Kapitan Haładyn, głęboko uczciwy i dbały o powierzonej jego opiece port, nie rozumie i nie ufa nowemu stosunkowi do pracy wprowadzonemu przez Grudzielskiego. Toteż na czas swej nieobecności powierza kierownictwo robot nad będącym na ukończeniu falochronem, zdawałoby się gwarantującemu nienaganne wykonanie fachowcowi, komandorowi

Łedyńskiemu, od którego nie można jednak oczekiwać zapalu i troskliwości o powierzony obiekt. Łedyński chce wyrwać się na urlop „odwala“ robotę jak najprędzej. Przychodzi sztor. Fale lada chwila zepchną z podstawy i rozbiją niezabalastowane kesony tworzące falochron.

Haładyn, któremu sprawy portu głęboko leżą na sercu, zatamuje się, nie dostrzegając wyjścia. Rozwiązanie podaje jeden z junaków, ktoś zupełnie „niefachowy“. Falochron można ostonić zatapiając niedawno wydobyty małowartościowy wrak Jokkmokka, który właśnie został oddany junakom do remontu. Nie szumne perory czy werbalistyczne deklaracje, których zresztą Breza szczęśliwie unika, lecz fakty — karygodne niedopatrzenie „fachowca“ Łedyńskiego, twórca inicjatywa zwykłego, jednak zainteresowanego sprawą junaka przekonują szczerze przeciw dostrzeganemu teraz słuszność takiego podejścia do pracy jakie reprezentuje niedawny robotnik. *inteligent z awansu — Grudzielski. Umieją te nowe czasy człowieka uczyć. Nowe czasy i nowe stosunki umieją. I wy... umiecie — powie techników.* Postać junaków autor „Murów Jetycha“ również podbudował przekonywającym, choć psychologicznym. — Są to przecież chłopcy z zacofanych pod względem kulturalnym, ubogich wsi... Morze, port, statki są dla nich czymś niesłychanie ciekawym, czymś wprost egzotycznym, rozbudzającym młodzieńczą fantazję. Ich nieco naiwny zapal nie jest motywowany zewnętrznymi deklaracjami, lecz przede wszystkim serdecznym życiem się ze sprawami portu. Ich przejęcie efcą pracą, ich ofiarności wynikają nie tylko ze zrozumienia celów — poparte są argumentem psychologicznym — młodzieńczą zdolnością entuzjasmowania się rzeczami nowymi, nieznanymi. Rozstając się z ukochanym statkiem, który grał tak ważną rolę w ich młodzieńczych marzeniach, czują konieczność tej ofiary. — Uratowanie falochronu stało się także ich sprawą.



Uniknięcie „schematyzmu“ ułatwił wybór formy opowiadania. Od opowiadania nie żądany „szereckiego tła“, wszechstronne wylicniowanie postaci, wszechstronnej charakterystyki, a więc rzeczy, które tak nie zadowalały w wielu dotychczasowych powieściach. Forma wymaga tu ześrodkowanej fabuły, co uzasadnia pewną jednostronność szkicowości.

Wyrażnym adresem „Jokkmokka“ jest młodzież Swadecy o tym zarówno akcja, jak i ujęcie mało skomplikowane, powodujące się niezłożonymi pobudkami, choć nie schematyczne postaci, atmosfera pogodnego — choć nie skomplikatorskiego, optymizmu. Nie znać to jednak wcale, by książka straciła prawo obywatelstwa w literaturze „tylko dla dorosłych“. Tak jak tego prawa nie tracą —



toutes proportions gardées — „Maleńka Dorritt“ czy „Dawid Cooperfield“ W sumie — książkę należy ocenić pozytywnie, choć w nieco innych kategoriach (ze względu na odmienny wymiar, odmiennie ambicje) niż „pełnokrwiste“ dzieła literackie jak „Niebo i Ziemia“.

*) Tadeusz Breza Jokkmokk, Czytelnik 1953.



— Ano! Czepla się, jak rzep petego ogona!

— Wciąż o tę skrzynkę?

— A o co by innego? Mówi, że chce ją kupić.

Odstawiła koszyk i bąknęła nieśmiało:

— Na co ci te śmiecie? Sprzedaj, zawsze pieniąż się przyda...

— Sprzedaj, sprzedaj... — przydrzeźniał. — Głupiaś! Nie potrzebuję jej pieniąży! Nie chcę mieć ze Szwabami żadnych konszachtów! A te szparęgały spałę, a nie dam!

Nie cierpiał tego Durawy. Od samego początku, od dnia, gdy opuścił swą biedną, pod Kiełkami położoną wieś Makoszyn i przyjechał tu pod Bytów, by gospodarzyć na ponie-mieckiej ziemi. We wsi nie chciał zamieszkać, wolał osiedlić się tutaj, na wybudowaniu. Od razu przypadły mu do gustu dwa gospodarstwa, samodzielne, roszące na wzniesieniu czerwonymi ścianami murosawnych budynków. Pomyślał wówczas, że będzie mu tu dobrze. Ziemia dobra, kawał łąki, wielki sad. Zamieszkał. Sprzedał żonę, synową i dobytek. Niewiele tego było, chociaż zabrał wszystko, najgorszemu garknowi nie przepuścił.

Zaczął żałować swego wyboru dopiero wtedy, gdy poznał Durawę. Lepiej byłoby mieszkać w Studzienicach. Miał tam znajomych, ziomków, jak i on przybyłych z głębi kraju, ludzi bliższych i serdecznych, innych niż ci tutejsi.

Bielin. I co z tego? Taki Szwab ma teraz lepiej niż ja. Czy to sprawiedliwe? No, powiedzcie?

Kiwali głowami, nie chcąc wdawać się w dyskusję z wojowniczym Chochółem. A Chochół laził po wsi, przesiadywał w sklepie, wykiłcał się ze wszystkimi.

Rosła głucha, zjadła nienawist między nim a Durawą. Klóćli się często, raz nawet Chochół grzmotnął Durawę pięścią.

— Za Odrę was wszystkich wywieść, hitlerowskie kuzyni! — krzyknął wtedy.

A Durawa nie. Ścierpiał. Wraz z żoną i dwójkiem pozostałych po synu dzieci borykał się z robotą. Nie gadał, a robił. Ziemię miał taką, jak i Chochół. Nie lepszą i nie gorszą. Ale pracował. Rzetelnie, sumiennie. Świt go widział przy piłgu, razem ze słońcem schodził z pola, do różnego wieczora tkwił w stajni czy w szopie. A praca nie szła na marne, gospodarka rosła, wetawała z ruin.

Tylko wyraz jakiegoś żalu, jakiegoś smutku nigdy nie schodził z twarzy Durawy. Pracował w milczeniu, samotny, uparty, nie zrażający się niepowodzeniami.

Chochółowi działał na nerwy.

Osadnik nie mógł po prostu na niego patrzeć.

Pierwszej powojennej jesieni w listopadzie Chochół orał leżący dotychczas odłogiem skrawek kamienistego gruntu. Piług ciął powoli o-

Chochół się zawzięł. Komu innemu sprzedałby, a nawet dałby — ale Durawie nie. Zawzięcie, niezmiennie twierdził, że skrzynki nie widział.

Rosła między nimi chłódna, zjadła nienawist. Durawa był natrętny. Nie rezygnował. Gdzie tylko dopadł Chochół, męczył go swą skrzynką.

— Nie łęjęce, Chochół — mówił — nasza Anka widziała, jak we nalezie na skrzenia. Prze oraniu, kole kresze.

Odpowiadał mu gwałtownie i przerywał rozmowę na ten temat. „Kończył jeść kolację, gdy wróciła żona, która w międzyczasie wyszła na podwórze i oświadczyła, że znowu pies uduśli jedną kurę. Chochół ze złości mało nie udlałwił się kešem chleba. Pośpiesznie wstał, wyszedł przed dom, zbit psa, a potem wrócił do izby i począł swój zły humor wyładowywać na żonie. Na wspomnienie sąsiada zaklął i umilkł. Chwilę nad czymś myślał, a potem powędrował na strych. Wrócił, niosąc przed sobą całą zawartość wyoranej skrzynki.

Stanął nad kuchnią. Płyta była czerwona, od ognia bł zar.

— Otwórz — powiedział do żony. Spojrzała na niego ze zdziwieniem:

— Co ty, Micha? palić chcesz?

— Otwórz! — powtórzył twardo. Uchyliła drzwiczki.

Rzucił.

Płomień przygasł na chwilę, zasyczał i wystrzelił pasmem żółtego blasku. Gryzący dym napenił izbe.

*) oto tu.
**) pastwisko.
***) grusza.
****) dom.

PROGRAMY RADIOWE
NA CENZUROWANYM

CHCAC mówić o programie radiowym można w sposób dość jednoznaczny — od czego zacząć? Jaką rolę ma odegrać w naszym życiu? Wzrost audycji — to jest pytanie. Wybór taki jest dość trudny — a przy tym nie bardzo potrzebny, bo czy to nie wszystkie, jedno, że najpierw pamóżemy np. o Teatrze Polskiego Radia, a później o audycjach dla dzieci — czy na odwrot — skoro jedno i drugie jest ważne i pożyteczne — i ani jednego, ani drugiego nie pominiemy? Najlepiej może zacząć od pewnej miłej niespodzianki, którą nam Polskie Radio niedawno zgotowało: jest nią długo oczekiwane wznowienie teatru Eterek, tych chyba najlepszych audycji satyryczno-rozrywkowych, które rozpoczęły nowy okres życia jubileuszowym słuchowiskiem, nadanym 6 grudnia ub. roku, po którym już w dwa tygodnie usłyszeliśmy następne, co pozwala przypuszczać, że przerwa, poprzedzająca wspomniany jubileusz, należy już tylko do przeszłości.

Skoro zaczęliśmy od Eterka — rozpatrzmy dalej całe zagadnienie audycji rozrywkowych. Obserwując program radiowy w ciągu roku ubiegłego niejednokrotnie zadajemy sobie pytanie: czy Polskie Radio w pełni docenia potrzebę rozrywki, czy zdaje sobie sprawę z tego, jak chętnie radiostłuchacze „wytapiają” wszelkie audycje o charakterze rozrywkowym? Z jednej strony mogłoby się wydawać, że chyba tak, czego dowodem może być zwiększenie ilości takich słuchowisk, jak „Na fali humoru i satyry”, „Na radiowej estradzie” oraz dość częste nadawanie licznych jednoaktówek, komedii, humorerek czy przyjemnie i dowcipnie opracowanych audycji słowno-muzycznych. W tej dziedzinie rok 1953 w stosunku do poprzedniego przyniósł znaczną poprawę. Na podkreślenie zasługuje nie tylko ilość wspomnianych audycji, których na tydzień wypada przeciętnie około dziesięciu, lecz również ich poziom, na ogół dość wysoki. Na to ostatnie składają się zarówno dowcipne teksty naszych najlepszych satyryków — Wiecha, Grodzienkiej, Wiktorczyka, i innych, trafnie i z dużym poczuciem humoru piętnujące nasze braki i niedociągnięcia, jak również ciekawy repertuar komedii czy humorerek naszych i obcych pisarzy — oraz dobrzy, czasami wręcz niezrównani wykonawcy, jak Kwiatkowska, Olsza, Fijewski i wielu innych.

Co do niedociągnięć, należałoby wspomnieć o pretensjach, jakie w stosunku do „radiowej spółdzielni satyryków” żywią czytelnicy „Szpilek”, którzy niemal cały program audycji „Na fali humoru i satyry” znają wcześniej z tego pisma, a bardzo często także z estrady i osobnych wydawnictw; tak że w końcu nudzą się przy głośnikach. Nie znaczy to, aby Polskie Radio miało zaniedbać nadawania utworów, które zostały opublikowane przedtem — przeciwnie, każdy chętnie wysłucha dobrych skeczów czy monologów wziętych z prasy czy montażu z „Syreny” lub Teatru Satyryków (zwłaszcza, że nie wszyscy radiostłuchacze czytają „Szpilek” i bywają we wspomnianych teatrach) — dobrze by jednak było wzbogacić repertuar audycji satyrycznych w większą ilość oryginalnych, tzn. nieznaną skądinąd utworów, a w programach radiowych uprzedzić, czego należy oczekiwać w danej audycji.

Wyżej wymienione audycje nie wyczerpują jednak zagadnienia, o którym mówimy. Do audycji rozrywkowych zdecydowanie zalicza się także muzyka taneczna — zalicza się raczej w teorii, bo praktycznie rzecz biorąc nawet najbardziej „uświadomiony” radiostłuchacz (tzn. taki z programem radiowym w ręku) na próżno oczekuje jej często przez bardzo długo, a gdy się w końcu doczeka, to... Ale lepiej oprzyjmy się na konkretach.

Nadawanie programu miejscowego i ogólnopolskiego przez obie warszawskie rozgłośnie wynosi w sumie w dzień powszedni 29 godzin 30 minut. Ponieważ soboty i niedziele mają nieco rozszerzony program — tygodniowo wynosi to ponad 211 godzin. Spójrzmy teraz — ile czasu przecała Polskie Radio na muzykę taneczną. Otóż — przykro nam stwierdzić — w stosunku tygodniowym w obu programach łącznie zajmują one... ok. 7 godzin, z czego więcej niż połowa przypada na sobotę i niedzielę, tak że w zwykły, powszedni dzień — teoretycznie rzecz biorąc — możemy słuchać muzyki tanecznej przez 40 min. — oczywiście rozparcelowanej na kilka „kastawek” trwających często całe... 7 lub 14 minut — i to nadawanych czasami późnym wieczorem. Oczywiście — dni „beztaneczne” tzn. pozabawione nawet tych kilku minut — również się zdarzają, a następne nie przynoszą prawie żadnej rekompensaty. Pytanie, czy człowiek, który chce zatańczyć lub posłuchać tanecznych melodii, musi koniecznie wybierać się na dancing, a następnie nie przynosić prawie żadnej rekompensaty. Pytanie, czy człowiek, który chce zatańczyć lub posłuchać tanecznych melodii, musi koniecznie wybierać się na dancing, a następnie nie przynosić prawie żadnej rekompensaty. Pytanie, czy człowiek, który chce zatańczyć lub posłuchać tanecznych melodii, musi koniecznie wybierać się na dancing, a następnie nie przynosić prawie żadnej rekompensaty.

A. Koskowski

DWA NURTY W NIEMIECKIEJ KINEMATOGRAFII

SIĘDEM już blisko lat dzieli nas od chwili, gdy kinematografia niemiecka zaczęła dzwigać się z ruin, warto więc zastanowić się dlaczego twórcy niegdys film niemiecki obecnie pozostaje w cieniu i dlaczego wśród laureatów festiwalów w Cannes i Wenecji nie widzimy nazwisk aktorów i realizatorów niemieckich? Szukając odpowiedzi na te pytania musimy cofnąć się wstecz i choć krótko przypomnieć sobie, jaka była

HISTORIA
NIEMIECKIEGO FILMU

DO roku 1933 kinematografia niemiecka zajmowała jedno z czołowych miejsc na świecie. Filmy Lubitscha i de Wienna — „Namiętność” i „Gabinet doktora Coligari” — zapoczątkowały okres wspaniałego rozwoju niemieckiej sztuki filmowej. „Nibelungen” (1924) i „Metropolis” (1926) Fritz Langa, „Ulica” (1923) Grüne’a oraz „Niebieski Anioł” (1930) Sternberga — oto milowe słupy w historii niemieckiego filmu.



Kaethe Vollmer w filmie Martin Helberga „Skazana wioska”

Ten szybki i rokujący najlepsze nadzieje na przyszłość rozwój nowej sztuki zostaje gwałtownie zahamowany z chwilą dojścia Hitlera do władzy. W imię nieludzkiej i okrutnej filozofii hitlerowskiej pozabawiają kinematografię niemiecką jej najlepszych reżyserów, aktorów i techników. Ludzom tym pozostaje tylko jedna droga — wygnanie.

Niektórzy realizatorzy, tacy jak Leni Riefenstahl, Heinrich George, Karl Ritter, Veit Harlan i Christina Seoderbaum podporządkowali się reżimowi nazistowskiemu. Z ich atelier wyszły hanbiące kinematografię niemiecką filmy takie, jak „Zyd Süß”, „Robert Koch”, „Młody hitlerowiec”, „Heimkehr Krüger”, „Córka sepa”, czy wręcz polakożerzy film „Powrót do domu”.

Prawdziwi jednak patrioci, tacy jak Liebenauer, Gerhard Lamprecht oraz wschodzące gwiazdy kinematografii niemieckiej Helmut Käutner i Wolfgang Staudte pracują za kulisami teatrów i studiów, czekając w ukryciu na nadejście właściwej dla nich chwili.

PO WOJNIE

W 1945 roku na pewno wielu było takich, którzy sądzili, że wraz z zakończeniem działań wojennych równocześnie niemal odrodzi się życie kulturalne Niemiec, a film niemiecki odzyska swą czołową niegdys pozycję. Spodziewano się, że do głosu dojdą teraz te siły, które w ciągu trzynastu lat panowania hitlerowskiego pozostawały w ukryciu. Nadzieje te częściowo były słuszne, nie należy jednak zapominać, że w Niemczech lata, które nastąpiły bezpośrednio po wojnie, nie sprzyjały rozwojowi sztuki ani życia kulturalnego, były to bowiem lata najgłębszego kryzysu ideologicznego. Przygnębione swą klęską i zdezorientowane społeczeństwo niemieckie skupia przede wszystkim swą uwagę na problemach politycznych, szuka usprawiedliwienia, szuka jakichś dróg wyjścia.

Zaledwie dzwigała się wtedy z ruin kinematografia niemiecka staje jednak na wysokości zadania. Pragnie ona dopomóc społeczeństwu niemieckiemu w rozwijaniu najbardziej palących zagadnień i świadomie bierze żywy udział w aktualnych wydarzeniach dnia. Jest to epoka filmów nawiązujących do lat wojny, „Mordercy są wśród nas” Wolfganga Staudte, „Gdzieś w Berlinie” Gerharda Lamprechta, „W owych dniach” Käutnera, „Malżeń-

stwo w mroku” Kurta Maetzig a „Między wczoraj a dziś” Harald Brauna — oto najważniejsze tytuły z tego okresu. Zadanie tych filmów jest jasne — mają one uświadomić narodowi niemieckiemu ogrom jego odpowiedzialności a równocześnie przeprowadzić go przez ciemności hitlerowskiej nocy. W okresie tym kinematografia niemiecka stawia sobie za cel wychowanie nowego człowieka, o wysokim poziomie moralnym i świadomego politycznie.

NOWY KRZYŻ

TAK mniej więcej wyglądała sytuacja w filmie niemieckim w pierwszych latach po wojnie. W późniejszym okresie możemy zauważyć dwa zjawiska: z jednej strony mamy do czynienia z rozwijającym się stale, postępowym i wychowawczym filmem niemieckiej Republiki Demokratycznej, z drugiej zaś w Niemczech zachodnich możemy zaobserwować stale obniżanie się poziomu produkcji filmowej. Zanim

prasy, odnajduje kontakt z publicznością, która tłumnie przybywa na jego pierwszy powojenny film noszący tytuł „Wieczni kochankowie”, Manifestacje protestacyjne organizowane przez studentów przeciwko temu nazistowskiemu reżyserowi są rozpedzane przez policję, a ich przywódcy — surowo karani. Veit Harlan zaś i Willi Forst nadal robią karierę i grając na najniższych instynktach, ugruntowują swoją popularność.

Niezwykle rewelacyjna będzie tutaj ankieta przeprowadzona przez jeden z dzienników zachodnio-europejskich. Pytania i odpowiedzi rzucają smutne światło na gust niemieckiej publiczności i świadczą jak przedko wrócili do łask skompromitowani współpracą z Hitlerem aktorzy i reżyserzy. Ankieta ta dowodzi, że najbardziej popularnymi aktorami są: Marika Röck, Hilde Krahl, Zarah Leander i Christina Seoderbaum, zaś spośród reżyserów publiczność zna najlepiej Veit Harlana i Willi Forsia.

KONKURENCJA AMERYKAŃSKA

NA obniżenie poziomu zachodnio-niemieckiej produkcji filmowej w ogromnym stopniu wpływa także konkurencja amerykańska. W Niemczech zachodnich istnieje teraz około 4 tysiące sal kinowych obsługujących 48 milionów mieszkańców. Na 414 filmów wyświetlonych w ciągu ostatniego roku przypada:

104	filmy niemieckie
203	„ amerykańskie
32	„ francuskie
20	„ angielskie
22	„ austriackie
22	„ włoskie
7	„ szwedzkie
14	„ innych krajów

Cyfr te mówią same za siebie. Na jeden wyświetlony film niemiecki przypadają aż dwa filmy amerykańskie. Filmy te, schlebające na ogół najbardziej prymitywnym gustom publiczności, zarabiają swym stylem kinematografię niemiecką i nie pozwalają na rozwinięcie się jakiegokolwiek wartościowej produkcji rodzimej. Poza tym kinematografia niemiecka, borykająca się często z trudnościami finansowymi, narazona na konkurencję z korzystającymi z łatwych kredytów firmami amerykańskimi, produkuje przede wszystkim tzw. filmy kasowe, a więc tandetne, szmirwate, nie mające za sztukę wspólnego.

Blahy i pozbawiony głębszych wartości film zachodnio-niemiecki dawno już przestał brać udział w życiu narodu. Nie porusza on już żadnych głębszych problemów. Nie dostrzega nawet takich zagadnień, jak wojna, odbudowa, problem uchodźców czy stosunki między wschodnimi i zachodnimi Niemcami. Film ten nie wychowuje, nie uczy, nie rozstrzyga problemów, film ten jedynie „bawi” w najpiętszym tego słowa znaczeniu.

W NIEMIECKIEJ REPUBLICIE
DEMOKRATYCZNEJ

KINEMATOGRAFIA wschodnio-niemiecka czerpie tematy filmów bezpośrednio z wydarzeń bieżącej chwili lub też z historii. Filmy te mówią o walce klasy robotniczej o swe wyzwolenie i poruszają najważniejsze problemy polityczne, ekonomiczne i społeczne. Celem ich jest przede wszystkim wychowanie nowego człowieka, dlatego biorą

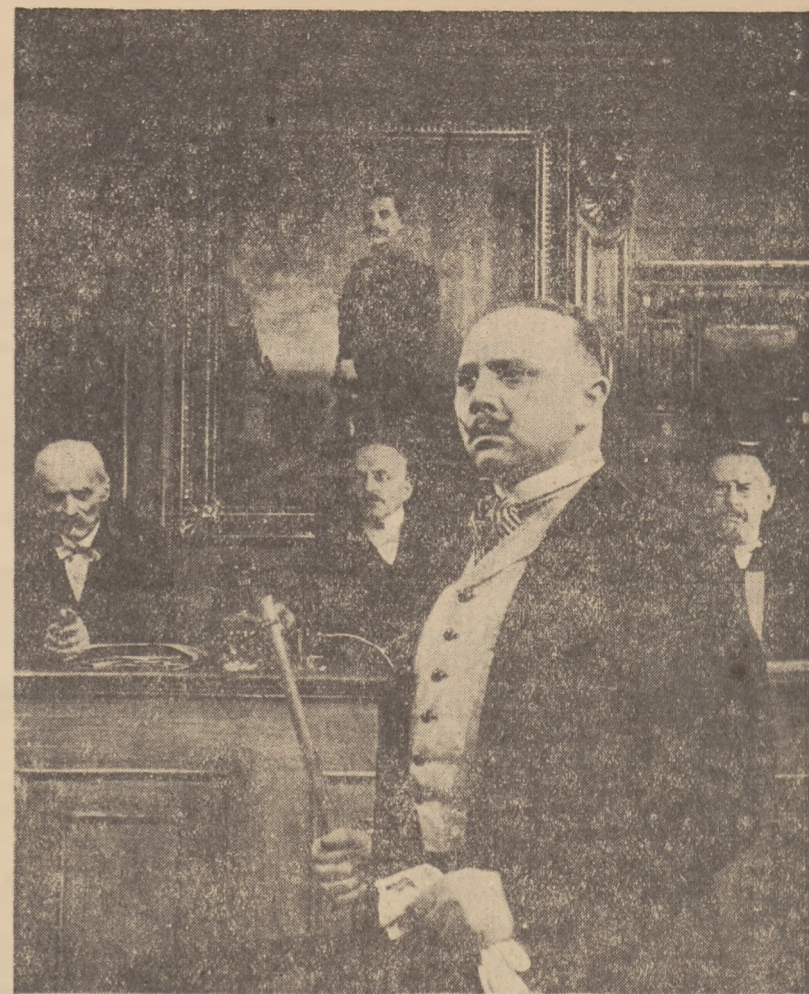
JÓZEF SZCZAWIŃSKI

NA SCENACH ŁÓDZKICH

WŁÓKIENNICZA Łódź przeżyła jak ów Kojuszek z bajki bezpośrednio po wojnie chwile niezapomnianego rozkwitu kulturalnego, w parę lat później obudzić się ogołoconą z tych światłości. Czy jednak ogołoconą doścześnie? Filharmonia Łódzka nadal cieszy się wielkim powodzeniem, środowisko literackie (mimo iż nie może zdobyć się na własne pismo) ma na swoim koncie parę poważnych osiągnięć pisarskich. Teatry zaś — i o nich będzie mowa — wypracowują powoli swoje sylwetki artystyczne i ideowe.

Spotkałem się kiedyś ze zdaniem, że po gwałtownym odpływie ludzi i środowisk twórczych do Warszawy, stanęła się Łódź kulturalnymi rogatkami stolicy. Rzeczywistość zaprzeczyła temu twierdzeniu, przynajmniej jeśli chodzi o teatry tego drugiego co do wielkości polskiego miasta.

Po okresie schillerowsko-axerowskim, obok wędz barwnego i żywego, choć szarzejącego powoli w łódzkim dymie, teatru Galla (Teatr im. Jaracza, obecnie kierowany przez laureata Nagrody Państwowej, Feliksa Żukowskiego), sfer teatralnej Łodzi przejął Teatr Nowy. Lech wydaje się, że naprawę to nie mamy dziś sceny reprezentatywnej dla tego miasta i istnienie takiej sceny nie jest może nawet konieczne. Teatry łódzkie przeżywają okres wypracowywania specyfiki swoich scen, jak również czas dojrzenia swych koncepcji repertuarowych. Zobaczymy o tym wynikiem z tego fermentu, a tymczasem sygnalizując, że w naj-



Werner Peters — laureat nagrody państwowej w głównej roli filmu „Poddany” Wolfganga Staudte

udział w jego codziennych zajęciach. kierują jego sumieniem, zmuszają do dyskusji, wkraczają w życie jednostki.

Każdy przejaw życia kraju znajdującego w nich swe odbicie: okupacja amerykańska (Skazana wioska), walka o lepszą wydajność pracy (Kopalnia „Jutrzenka”), życie robotniczej rodziny (Brunatna pajęczyna), międzynarodowy kapitalizm (Rada bogów). W szkołach, fabrykach, na uniwersytetach i w redakcjach dzienników organizowane są dyskusje, których celem jest poszukiwanie nowych tematów dla filmów. Na przykład czytelnicy „Neues Deutschland” zażądali od DEFY nakręcenia filmów z życia aktywistów partyjnych oraz filmu mówiącego o realizacji planu pięcioletniego.

Te same tendencje dają się zauważyć w dziedzinie filmów dokumentalnych. Na przykład film „Droga wzywa” ukazuje entuzjazm z jakim Niemcy w NRD odbudowują swój kraj.

„CORINNA SCHMIDT”
I „PODDANY”

W całości produkcji DEFY specjalne miejsce należy przyznać Wolfgangowi Staudte i „Corinnie Schmidt” Artura Pohla. Akcja filmu Arthura Pohla nakręconego według powieści „Frau Jenny Treibel” — Teodora Fontane przebiega w XIX wieku, w okresie konsolidacji niemieckiego kapitalizmu. Corinna Schmidt, córka profesora, początkowo ośmieszona zbytkiem łatwego, mieszczańskiego życia, odnajduje prawdziwą drogę do szczęścia poświęcając się rewolucji społecznej. Wielką wartością tego filmu jest realistyczne odwzorowanie środowiska mieszczańskiego i robotniczego z końca XIX wieku. Z jednej strony luksus, bogactwo, arogancja, głupota, okrucieństwo i chęć panowania, z drugiej zaś nędza, lecz i nieustępliwa walka ludu o swe wyzwolenie. Równie mocny w swej wymowie społecznej jest film „Poddany” Wolfganga Staudte.

Realizator filmu „Mordercy są wśród nas” i wielu innych wartościowych dzieł jest dzisiaj najbardziej interesującym i najodważniejszym postacią niemieckiej kinematografii. Jak wiemy, film „Poddany” — to ostra satyra na epokę wilhelmską. Staudte z niesłychanym wprost mistrzostwem potrafił przedstawić nienawistną i śmieszłą zarazem postać głównego bohatera słynnej powieści Henryka Manna. Ten tanący ostrzem satyry i do głębi przejmujący film piętnuje błędy „wielkiego” wieku niemieckiej historii,

XXX

EWIEN krytyk berliński w wydawanych w strefie zachodniej wyraził się niedawno w ten sposób: „Kiedy wychodzimy z kina po obejrzeniu któregoś z filmów DEFY, zawsze dyskutujemy na jego temat, a poruszone przezeń problemy zajmują naszą myśl co najmniej przez kilka dni, gdy zaś oglądamy film produkcji zachodniej, już z chwilą opuszczenia sali zapominamy o nim”.

Istotnie prawie wszystkie filmy wyprodukowane przez DEFY zmuszają widza do rozważań i dyskusji. Zmuszają go do zajęcia stanowiska wobec takiego czy innego aktualnego problemu, filmy te uczą i wychowują nowego człowieka, o wysokim poziomie moralnym i czujnego wobec potrzeb swych współbraci, swego narodu i wszystkich ludzi na świecie. Dlatego jeżeli mówimy o przyszłości niemieckiego filmu, nadejście nasze wiążemy z DEFA, tam bowiem jedynie, gdzie walczy się o lepszego i pełniejszego człowieka, może być mowa o rozwoju prawdziwej sztuki.

Na podstawie prasy opracowała

I. Kopeć

wysunąć można przeciw koncepcji reżyserkiej łódzkiego przedstawienia Bardzo prawdziwie za to pokazano nam, między innymi, te fragmenty sztuki, w których do głosu dochodził młodociany „puszczenie na żywioł” tych scen daje dobre wyniki stwarzając wrażenie bezpośredniego wydatnie pomogli tu reżyserowi młodzi aktorzy. Jak na przykład Włodzisław Skoczylas (Stopa) który powinien jednak zbyć swój zasób środków wyrazu aktorskiego.

Jeśli chodzi o główne role Paweł Kręcał, tytułowy bohater sztuki, sporządzone zostały przez Andrzeja Szalawskiego według przyjętej u nas ogólnie recepty na pozytywnego inteligenta radzieckiego: pozbawiony reformatorskiej pasji, nie wybitny on się też dostatecznie na plan pierwszy za to w narzeczeńskim trójkącie: Paweł — Lidia — Arkadiusz, ten ostatni w interpretacji Edmunda Fettinga dobrze podchwycił w postaci dyrektora szpitala rysy neurastenii i wybitnej ambicji. Właściwym bohaterem sztuki stał się w spektaklu łódzkim przewodniczący miejskiej rady narodowej, którego Stanisław Łapinski ukazał z przewyżcającymi i śmieśniskami starszego lub działacza społecznego, na dobitkę zadowolonego przez energiczną córkę. Takie ujęcie tej mądrej, znającej ludzi i przeżywającej ludzkie sprawy postaci niezwykle przybliża ją widowni. Przekonałmy się raz jeszcze, że może śmieszny i to z dobrym wynikiem również bohater pozytywny.

Pomimo że dyskutować możemy z reżyserem o jego koncepcji inscenizacyjnej, mimo dość nierównej gry aktorów, łódzkie przedstawienie „Chirurg” oddaje właściwą atmosferę tej sztuki, atmosferę szczerze optymistyczną wyrażającego z wiary w człowieka.

O „KWARTALNIKU FILMOWYM“ Z PRZYKROŚCIĄ SŁÓW KILKA

„Kwartalnik Filmowy“ jest w historii naszego piśmiennictwa filmowego pismem, które pretenduje do miana poważnego, naukowego czasopisma poświęconego teorii i historii sztuki filmowej. Wydany w ostatnich dniach nr 11-12 kwartalnika zamyka trzyletni okres działalności. Ktoś dowiecnie powie, że jak sama nazwa pisma wskazuje, ukazuje się raz na pół roku. Lista członków Kolegium redakcyjnego mieni się od nazwisk mogących zagwarantować należyty poziom pisma. Ale od pozorów do rzeczywistości jest daleka droga i ostatni numer pisma w sposób namiętny i kompromitujący je pretensjonalnie ambicje.

Wydaje się, że trzyletni okres czasu jest dostateczny do wypracowania modelu pisma; przypadek „Kwartalnika Filmowego“ przeczy temu. Jeśli pismo ma ambicje naukowe, to doprawdy zbyt wiele posiada taniej „dziennikarszczyzny“. Nie będąc powoływany na szumne plany, jakie głosił pierwszy numer kwartalnika, bo to tylko powiększa stopień rozczarowania, w kilku uwagach ograniczę się więc do omówienia najbardziej jaskrawych błędów.

Ambicją każdego pisma jest jego głęboki związek z życiem. „Kwartalnik Filmowy“ podobno też jest

pismem ambitnym. Ale w bieżącym roczniku dowiadujemy się że jedynie o planach naszej kinematografii na rok 1953 (artykuł ukazał się we wrześniu 1953 roku), znajdujemy nieomówiony scenariusz B. Czeskiej (któż jeśli nie „Kwartalnik Filmowy“ ma publikować najciekawsze scenariusze polskie i krytycznie je omawiać) i dwie recenzje z filmu „Sprawa do załatwienia“, które zajmują 13 stron petitu. Jeżeli taki film zajął tyle stron, to nic dziwnego, że nie zmieściła się w „Kwartalniku Filmowym“ recenzja z „Zolnierza zwycięstwa“. O pozostałej produkcji w ogóle się nie mówi. Gdzie krytycyzm, gdzie umiar? Trzeba sobie zdawać sprawę co i jak krytykować i w jakich rozmiarach.

No, a te naukowe rozważania o „Sprawie do załatwienia“ z wyłączeniem całej estetyki marksistowskiej, teoretyków sztuki, Stanisławskiego i Pudowkina, to doprawdy materiał dla satyryków na film o krytykach. „Z czym do gościa...“ jakby powiedziała pani Piecyk.

Poważny dział każdego pisma naukowego — to solidna dokumentacja. Ale w „Kwartalniku Filmowym“, jak i w innych działach, tak i tu panują niekonsekwencje. Istniał początkowo w kwartalniku przegląd prasy i wydarzeń. Później ukazywała się w większości numerze jedynie kronika wydarzeń. Kronikę tę w dużej mierze dublował ukazujący się w końcu każdego roku dziennik polskiej kinematografii (zresztą bardzo dobrze robiony i cenny materiałowo). Krytyka skarżyła się na brak problemowych przeglądów prasy. Aby temu zaradzić, „Kwartalnik Filmowy“ uczył nas w ostatnim numerze sosem, od którego mdli. Czego tam nie ma? Chyba przysłowiowego „dziada z babą“. „Kwartalnik“ raczy nas wiadomościami o drugorzędnych artykułach i wydzierżawieniach zarówno krajowych (!), jak i zagranicznych (!), raczy nas straszną starzyzną i wymienianiem w sposób pozabawiony jakiejkolwiek metody, bez żadnej selekcji, artykułów z prasy zagranicznej (np. o filmie trójwymiarowym już od pół roku trąbiła prasa polska. „Kwartalnik“ mógł zdobyć się na jakąś ocenę z piaszczyzny estetycznej, a nie powtarzać cudze wiadomości. Lista najlepszych filmów typowanych przez „Sight and Sound“ za rok 1952 ukazuje się w chwili, kiedy pismo to ogłosiło listę za rok 1953). Doprawdy brak już wykrzykników dla oznaczenia tej nonsensowności. A prasa pisze, że członkowie redakcji biorą udział w międzynarodowych kongresach filmowych itp. imprezach. Komu tu wierzyć... Trudno, ale tych zaniedbań zagranicznych nie okupi się jednym rzetelnym (dobrze przetłumaczonym) artykułem z prasy francuskiej.

A teraz ilustracje, które podobno w każdym szanującym się piśmie filmowym odgrywają tak istotną rolę. Po starannie opracowanym numerze 10 „Kwartalnika“ otrzymaliśmy teraz jakiś poroniony wprost zestaw. Rozpatrzmy kolejno. Do robotnicza arystokracja, nieraz daleka od klasowej i rewolucyjnej świadomości. I dziś zdarza się, że swoje interesy chce jeszcze stawiać ponad dobro klasy robotniczej i państwa demokratycznego. — Jak przekonwać? Jak uświadamiać? — Konkretami. Weźcie zarządzenie polikliniki na przykład — odpowiada młody robotnik. — Przed wojną Zeiss, uprzywilejowana fabryka, miała jedną izdebkę z siostrą i apteczką. To wszystko! Dziś mamy wielką przychodnię, wszystkie specjalności. Ewakuowaliśmy cały dział produkcji, by dać miejsce na przychodnię. To samo dotyczy stodoły, której u Zeissa nigdy nie było. Niedługo wybudujemy specjalny dom społeczny, obsługujący wszelkie potrzeby naszych robotników. Z każdym miesiącem pracownicy bardziej sobie uświadamiają to, co ich wiąże z wielkim wysiłkiem demokratycznego państwa niemieckiego. Niedaleko, w Bad Berka buduje się największe w Niemczech sanatorium

użrzymy w Teatrze Powszechnym Las Ostrowskiego i Poskromienie złości Szekspira oraz polską sztukę współczesną i klasyczną. Kierownictwo zamierza wystawić na przełomie 1954-55 Dziady Mickiewicza. Najbliższą premierą Teatru Powszechnego będzie Pałac w zauku braci Tur w reżyserii Jadwigi Chojackiej, z Marią Malicką i J. Chojacką w rolach czołowych.

Warto również wspomnieć, że dużym osiągnięciem teatru jest jedyna i pierwsza na terenie Łodzi scena dla dzieci i młodzieży. Obecnie widz łódzki gorąco oklaskuje wystawianą w Teatrze Powszechnym komedię Carlo Goldoniego Awantury w Chioggi.

Przyjęło się dwójako inscenizować komedie Goldoniego: albo podkreślać sztukę sceniczną, wdzięk i precyzję jego dramaturgii, lub też żywocność, ludowość, a często i jaskrawość postaci i sytuacji.

Tą drugą drogą poszli inscenizatorzy omawianego przedstawienia. Jadwiga Chojacka i Jan Maciejowski. Dobrze podkreślono wartość akcji. Położono szczególną wagę na barwność widowiska, jego ludowość. Zarzuć można by tylko zbyt niekiedy przesadzone wulgarność niektórych scen. Uzasadnia ją wprawdzie sytuacja i środowisko przedstawiane w komedii, lecz poza tym kryje się zawsze niebezpieczeństwo naturalistycznego rysunku i sytuacji. Dużą zasługą reżyserii jest również fakt, że różnorodność temperamentów, bardzo trafnie podchwyciona i pokazana farsowością niektórych scen nie rozbija wartości przedstawienia, a dobrze podbudowuje akcję. Nie omawiam po szczegółach koncepcji aktorów, wydamy się bowiem, że przede wszystkim indywidualność reżyserów zdecydowała o wyglądzie widowiska, co bynajmniej nie umniejsza poszczególnych osiągnięć aktorów, jak na przykład bardzo

artykułu o „Sadko“ tylko jedno zdjęcie związane z tematem, reszta zamieszczona bez sensu. Do artykułu o barwie w filmie w ogóle brak zdjęć, do artykułu o filmie o światowym zdjęciu jak najbardziej przypadkowe, do artykułu o filmach szkolnych zdjęcia dobre, do filmu „Sprawa do załatwienia“ też, no bo co w tym filmie poza Dymyszko było warte. Do artykułu o kinematografii francuskiej i przeglądzie wydarzeń — przypadkowa salata i to wyjątkowo zła technicznie. A po co te całostronicowe plansze z „Dziela mistrza Szwosza“? A gdzie konsekwencja w podpisach — „Gahemakten Solvay“ to przecież grane u nas „Tajne akta f-my Solvay“; ale widocznie w obcym języku to bardziej naukowo wygląda, jak mniemam redakcja; „Dzieci Hiroszimy“ pisze się po polsku, a inne filmy zagraniczne nie grane na polskich ekranach — w oryginalnym brzmieniu (i słuszenie). Gdzie tu konsekwencja?

Skończę na tych żalach, na tych ostrych — być może — pretensjach, ale wypowiedzianych w imię troski o to jedyne pismo, któremu przyszłoby chlubna ambicja służenia sztuce filmowej. Niech tym poważnymi niedomaganiem nie zaprzęszcza redakcja „Kwartalnika Filmowego“ osiągnąć do brze rozwijającego się działu zagadnień teoretycznych, niech powrócą ciekawie zapowiadające się w ub. roku analizy filmów, niech dział dokumentacji nie obniża się brakiem metod pracy, niechłujnością w doborze ilustracji, niech towarzyszy wydarzeniom (gdzie np. recenzje z wydawnictw filmowych — jedna na rok to mało). Wszystkimi na tym zależy, by „Kwartalnik“ dotrzymywał kroku rzeczywistości.

E. A. Relsz

WIZYTA W JENIE

(Dokończenie ze str. 2)

Przebiegłymi na 1600 łókcie. Całe miasteczko. Państwo inwestuje tam dwadzieścia trzy miliony marek. W obliczu tych wielkich celów zamajają się wszelkie egoizmy.

Gdy tak za jednym stołem Polak i Niemiec wspólnie konfrontują swe doświadczenia i nadzieje — hasło „Odra i Nysa“ — granicą przyjaźni i pokoju“ brzmi nam jeszcze dzwicznie i bardziej poręczająco.

Żałuję, że moja wizyta w Jenie była tak krótka. Tak bardzo bym chciał móc jeszcze więcej zobaczyć, jak kształtuje się tam nowy, demokratyczny i pokojowy nastawiony człowiek; tak bardzo bym chciał móc jeszcze bardziej przyłożyć do tej przyjaźelskiej wymiany doświadczeń i przemysłów.

Wracam z przeświadczeniem, że tam — w Jenie, jak i w całej Niemieckiej Republice Demokratycznej — rośnie połączna siła, oparta o nowy ustrój i jego dorobek. Tej siły nikt nie pokona i ona będzie tworzyć kiedyś przyszłość zjednoczonych Niemiec.

Wojciech Kętrzyński

MARIAN RADAWIAK

Dobrze mi tak!

Dobrze mi tak! Gorzka nauka, ale nie pójdzie w las. A kimże ja jestem, że mi się zechciało robić reportaż z Państwowego Teatru Kameralnego?

Przyznaję: przewróciło mi się w głowie. Chciałbym jednak wyjaśnić, że zarumianłość nie była jedyną pobudką mojego działania. Wydawało mi się, że temat będzie atrakcyjny dla pisma i — jak błędnie sądziłem — pożyteczny również dla teatru. Bo ludzie wiedzą tak mało o tym, jak ciężka jest praca w teatrze, jak montuje się przedstawienie, jak obsadza się rolę, co to jest analiza tekstu, w jaki sposób pracuje reżyser nad swoim zespołem. A przy tym temat był wyjątkowo kuszący dla autora i ciekawy dla czytelników: rozmowy z reżyserem Warneckim, wywiady z aktorami tej miary, co Cwiklińska, Romanówna, Zabczyński...

Niepomny więc ostrzeżeń kolegów (dzisiaj śmieją się ze mnie i mają rację) począłem starać się o zezwolenie Dyrektora, Zawisni koleżdy w redakcji tręcał się łokciami i szepotali do siebie: — Radawiak i Teatr Kameralny... Chłopak dostał manii wielkości. Muszę przynajmniej, że od

I nie wpuścił. Ale nie ci z Kameralnego. Ci z Polskiego. Teatr Kameralny podlega dykcji Teatru Polskiego. Muszę przynajmniej, że od

niesiono się do mnie z kurtuazją, na jaką nie zastąpiłem. Wpuszczono do Sekretariatu i do Gabinetu Wicedyrektora, zupełnie jak normalnego dziennikarza. Pani Sekretarka była nawet tak dobra, że rozmawiała ze mną 7 (siedem) razy na przestrzeni miesiąca. Rozmowa ze mną oczywiście ją nudziła, ale nie dała nic znać po sobie. Codziennie z tą samą uprzejmością powtarzała: — Mamy dziś bardzo dużo roboty; proszę przyjść za parę dni. A ja, prowincjonalnusz, zamiast zrozumieć, o co chodzi i co ten język znaczy — wracałem naiwnie. I co najkomiczniejsze, brałem doświadczenie, iż jednego dnia mi mówiono, że moją sprawę musi załatwić Dyrektor Administracyjny, a drugiego dnia, że sprawę przekazano Dyrektorowi Nacelnemu, który z kolei przekazywał ją z powrotem do Dyrektora Administracyjnego. I dopiero w Zakresie Administracyjnym, i dopiero wówczas pojąłem, jaki byłem nietaktowny i nie pojmujący zwrotu bardzo przecież podobnego do „pani nie ma w domu“.

A przecież sprawa jest zupełnie oczywista: Teatr Polski zanadto dba o Kameralny, by miał doń wpuścić pierwszego z brzegu reporterka. A jak ktoś jest tępy i pojmuje powoli, to — dobrze mu tak!

Zamykając wrażenia z wizyty w teatrze im. Jaracza warto wspomnieć o planach repertuarowych tej placówki. Weszła już na scenę teatr sztuka Brandysa Spraciedliwi ludzie w nowej inscenizacji, ślicie wiążące jej akcję ze środowiskiem łódzkim. W lutym wystawiona zostanie Komedja Apollona Nalecz - Korzeniowskiego, przewiduje się też w najbliższym czasie wystawienie Żywego trupa Tolstoją oraz jednej ze sztuk konkursowych, dalej ewentualnie jednego z dramatów Schillera i radzieckiej sztuki współczesnej. Słuszne dążenia teatru ku wielkiemu repertuarowi nie powinny jednak, moim zdaniem, skierować go wyłącznie na tę drogę. Potrzeba dobrej sztuki kameralnej, dobrej komedii współczesnej jest bowiem w Łodzi wielka.

Wielkiej, a jednak nie zwichniętej kreacji Zdzisława Jabłońskiego (Padron Fortunato).

O ile Opera przeżywa obecnie swój renesans, o tyle egzystencja operetki stoi u nas wciąż pod

operetki i brak aktorów i zarazem śpiewaków operetkowych. O ile sprawy repertuarowe zależą przede wszystkim od naszych muzyków i pisarzy, to Teatr Muzyczny może wziąć żywy udział w wychowaniu nowych kadr aktorskich



Wiesław Mirewicz (Patron Toni), Hilda Skrzydłowska (Madonna Pasqua), Mirosław Szonert (Beppe), Ewa Brak-Brzeska (Orsetta) w „Donji Juanicie“ Suppého Fot. F. Myszkowski

znakiem zapytania. Dlatego z uznaniem powitać trzeba każdą inicjatywę zdążającą ku unowocześnieniu i uszlachetnieniu tego tak popularnego rodzaju scenicznego. Teatr Muzyczny w Łodzi musi przezwyciężyć dwie zasadnicze trudności. Brak nowych

Teatr Muzyczny w Łodzi opera się przede wszystkim na absolwentach szkół aktorskich i w znacznej mierze szkół muzycznych. Adaptacja śpiewaków operowych przed operki nie daje wyników. Należałoby może pomyśleć o specjalnym studio operetkowym, któ-

KSIĄŻKI: recenzje i omówienia

HENRYK ŁOWIAŃSKI „PODSTAWY „GOSPODARSTWA FORMOWANIA SIĘ PAŃSTW SŁOWIAŃSKICH“, WARSZAWA 1953. PANSIOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE, str. 400.

Ostatnie miesiące przyniosły szereg nowych cennych prac z dziedziny historii. Wśród nich na specjalne wyróżnienie zasługuje dzieło wybitnego mediewisty, profesora Uniwersytetu Poznańskiego, Henryka Łowiańskiego, który już poprzednio zdobył sobie honorowe miejsce w naszej historiografii i członkowskie w Akademii Nauk kapitał dwumową pracą „Studia nad początkami społeczeństwa i państwa litewskiego“. Obecnie prof. Łowiański sięgnął do bardzo ciekawego tematu opracowując „Podstawy gospodarstwa formowania się państw słowiańskich“.

Przez długi czas wśród historyków Słowiańszczyzny toczyły się zaciekłe dyskusje między zwolennikami teorii konceptu genety państwowości. Jedni uważali, że powstanie państwa jest procesem, który przebiegał w sposób ciągły i nieprzerwany, a inni uważali, że powstanie państwa jest procesem, który przebiegał w sposób przerywany i nieciągły.

Prof. Łowiański stanowczo i zbytnie skromnie ocenia swą pracę. Wykazał on imponującą erudycję i umiejętność wyciągania szerokiego wlotu z niezliczonego materiału, którym dysponuje nauka historyczna do czasu dawniej prehistorycznych czasów państw słowiańskich. W rezultacie rzucił on dużo światła na stosunki gospodarcze i społeczne pierwotnych plemion słowiańskich, które — oczywiście — w ścisłym związku z nimi — kształtowały się bazy — doprowadziły do powstania państw politycznych a więc do genety państwowości.

Jest długi rozdział na ogół przyjęty, że przynajmniej część ludności krajów słowiańskich czerpała w zaraniu swych dzieł srodki do życia z gospodarki wiejskiej. Jednakże wśród uczonych specjalistów panują duże różnice zdania co do hierarchizacji poszczególnych sfer życia gospodarki wiejskiej. Wskazuje się na rolę górnictwa i łowiectwa, rybołówstwa i hodowli — czy to najwazniejszą rolę gralo łowiectwo i łowiectwo, czy to rybołówstwo i hodowli, czy to górnictwo i łowiectwo. Wskazuje się na rolę górnictwa i łowiectwa, rybołówstwa i hodowli — czy to najwazniejszą rolę gralo łowiectwo i łowiectwo, czy to rybołówstwo i hodowli, czy to górnictwo i łowiectwo.

Wbrew próbom przesunięcia przewagi rolnictwa wypaleniskowego aż nawet do połowy pierwszego tysiąclecia naszej ery Stowiańszczyźnie przetrwała forma wypaleniskowa, co było — jak wiadomo — najbardziej ekstenywną formą gospodarki, która stopniowo bierze zadość w kierunku ekstenywności uprawy ornej, która stopniowo bierze zadość w kierunku ekstenywności uprawy ornej.

Z tą przemianą form wytwórczości wiąże autor w sposób całkowicie przekonujący przejście od wspólnoty rodowej do rozwarstwienia klasowego, którego wyrazem było m. in. powstawanie i rozwój miast oraz wykształcanie się państwa, którymi stały się państwa feudalne. Refleksję interesów możnych i rycerzy, którzy stanowili element feudalny, było tworzenie się wielkozwarowych organizmów państwowych, co obserwujemy w Słowiańszczyźnie w czasach wieków VIII-X.

Przechodząc do sprawy początków miast i ich roli w genety państwa autor wykazuje, że załazki osrodków miejskich zjawiają się we wschodniej Słowiańszczyźnie już w VII — VIII w. W Słowiańszczyźnie północno-zachodniej w szczególności na Pomorzu, proces ten był znacznie opóźniony i możemy go stwierdzić dopiero począwszy od X w. W Polsce chronologia początków miast wymaga jednak pewnego zastanowienia przez archeologię. Według autora wydatki się na pierwsze doświadczenia w kierunku państwowości, które miały miejsce w VII — VIII w. W Polsce chronologia początków miast wymaga jednak pewnego zastanowienia przez archeologię.

Prof. Łowiański dochodzi do wniosku, że powstanie miast poprzedził doświadczenia państwowości, które miały miejsce w VII — VIII w. W Polsce chronologia początków miast wymaga jednak pewnego zastanowienia przez archeologię.

Wskazuje, że powstanie miast poprzedził doświadczenia państwowości, które miały miejsce w VII — VIII w. W Polsce chronologia początków miast wymaga jednak pewnego zastanowienia przez archeologię.

Wskazuje, że powstanie miast poprzedził doświadczenia państwowości, które miały miejsce w VII — VIII w. W Polsce chronologia początków miast wymaga jednak pewnego zastanowienia przez archeologię.

Wskazuje, że powstanie miast poprzedził doświadczenia państwowości, które miały miejsce w VII — VIII w. W Polsce chronologia początków miast wymaga jednak pewnego zastanowienia przez archeologię.

Wskazuje, że powstanie miast poprzedził doświadczenia państwowości, które miały miejsce w VII — VIII w. W Polsce chronologia początków miast wymaga jednak pewnego zastanowienia przez archeologię.

Wskazuje, że powstanie miast poprzedził doświadczenia państwowości, które miały miejsce w VII — VIII w. W Polsce chronologia początków miast wymaga jednak pewnego zastanowienia przez archeologię.

Wskazuje, że powstanie miast poprzedził doświadczenia państwowości, które miały miejsce w VII — VIII w. W Polsce chronologia początków miast wymaga jednak pewnego zastanowienia przez archeologię.

Wskazuje, że powstanie miast poprzedził doświadczenia państwowości, które miały miejsce w VII — VIII w. W Polsce chronologia początków miast wymaga jednak pewnego zastanowienia przez archeologię.

Wskazuje, że powstanie miast poprzedził doświadczenia państwowości, które miały miejsce w VII — VIII w. W Polsce chronologia początków miast wymaga jednak pewnego zastanowienia przez archeologię.

Wskazuje, że powstanie miast poprzedził doświadczenia państwowości, które miały miejsce w VII — VIII w. W Polsce chronologia początków miast wymaga jednak pewnego zastanowienia przez archeologię.

Wskazuje, że powstanie miast poprzedził doświadczenia państwowości, które miały miejsce w VII — VIII w. W Polsce chronologia początków miast wymaga jednak pewnego zastanowienia przez archeologię.

Wskazuje, że powstanie miast poprzedził doświadczenia państwowości, które miały miejsce w VII — VIII w. W Polsce chronologia początków miast wymaga jednak pewnego zastanowienia przez archeologię.

Wskazuje, że powstanie miast poprzedził doświadczenia państwowości, które miały miejsce w VII — VIII w. W Polsce chronologia początków miast wymaga jednak pewnego zastanowienia przez archeologię.

Wskazuje, że powstanie miast poprzedził doświadczenia państwowości, które miały miejsce w VII — VIII w. W Polsce chronologia początków miast wymaga jednak pewnego zastanowienia przez archeologię.

Wskazuje, że powstanie miast poprzedził doświadczenia państwowości, które miały miejsce w VII — VIII w. W Polsce chronologia początków miast wymaga jednak pewnego zastanowienia przez archeologię.

Wskazuje, że powstanie miast poprzedził doświadczenia państwowości, które miały miejsce w VII — VIII w. W Polsce chronologia początków miast wymaga jednak pewnego zastanowienia przez archeologię.

Wskazuje, że powstanie miast poprzedził doświadczenia państwowości, które miały miejsce w VII — VIII w. W Polsce chronologia początków miast wymaga jednak pewnego zastanowienia przez archeologię.

Wskazuje, że powstanie miast poprzedził doświadczenia państwowości, które miały miejsce w VII — VIII w. W Polsce chronologia początków miast wymaga jednak pewnego zastanowienia przez archeologię.

Wskazuje, że powstanie miast poprzedził doświadczenia państwowości, które miały miejsce w VII — VIII w. W Polsce chronologia początków miast wymaga jednak pewnego zastanowienia przez archeologię.

Wskazuje, że powstanie miast poprzedził doświadczenia państwowości, które miały miejsce w VII — VIII w. W Polsce chronologia początków miast wymaga jednak pewnego zastanowienia przez archeologię.

Wskazuje, że powstanie miast poprzedził doświadczenia państwowości, które miały miejsce w VII — VIII w. W Polsce chronologia początków miast wymaga jednak pewnego zastanowienia przez archeologię.

Redaguje zespół: Przenumeracja miesięczna 4 z Kwartału 12 2 Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43, tel. 1-60-11 (18) Zamówienia i wpłaty przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listownie: Zakłady Drukarskie i Wzrostodrukowa RSW „Prasa“ w ul. Mszczynska 11, Zam 133 5-8-150008



Danuta Szaflarska w roli „Kitty”

problemu rozwojowego filmu i teatru w niczym nie przeczy faktowi wzajemnego oddziaływania na siebie obu sztuk. Wiemy, że wiele sztuk teatralnych, już i w okresie międzywojennym, również np. niektóre ze sztuk radzieckich, „rewolucyjnego romantyzmu”, przejęło niejedno z technik filmowej. Podobnie też jak Teatr Brechta, i teatry zachodnie, i teatr radziecki wprowadzają dopełniające spektakl i podnoszące jego nastrój projekcje filmowe. Z drugiej strony w krajach o dużej tradycji teatralnej ujęcie filmów długo zachowywało i nadal jeszcze zachowuje niejedno z ujęcia teatralnego.

To drugie zjawisko było typowe i zrozumiałe zwłaszcza w początkowym okresie rozwoju filmu, kiedy zdobywał on dopiero w pełni własną mowę artystyczną. Sztuka starsza po prostu przekazywała młodszą swą wiekową tradycję i doświadczenia. Czasami oczywiście dochodziło, np. we Francji, do prawdziwych artystycznych nieporozumień, że film niewolniczo naśladował teatr. Lecz i dziś, kiedy film już się usamodzielniał, symbioza teatru z filmem, udział reżyserów, aktorów, scenografów teatralnych w spektaklach filmowych odbywa się nieustannie i daje niekiedy wyniki bardzo ciekawe. Przykładem takiego obiecującego wkroczenia w dziedzinę filmu jest właśnie film Erwina Axera *Domek z kart* według sztuki Zegadłowicza, granej w Teatrze Współczesnym.

Kiedy zastanawiać się nad tym co sprawiło, że ekranizacja *Domku z kart* w niejednym przewidywaniu realizacja sceniczna sztuki (sam odniosłem np. wrażenie jej ogólnej większej strawności), wydaje się, że zasługa polega może przede wszystkim na dalszym pogłębieniu przez Axera pewnej ogólnej, niezależnej nawet od techniki filmowej, wymowy artystycznej sztuki, a dopiero później na umiejętnym wykorzystaniu atutów filmu.

Axer, który inscenizując w Teatrze Współczesnym *Domek z kart* dokonał — jak wiemy — ogromnej pracy dramaturgicznej, kontynuował ją jeszcze przy robocie nad filmem. Sztuka, skrócona już o połowę, uległa jeszcze dalszemu oczyszczeniu z rozlewłości i publicystycznego rezerwu. Nie przestając, zwłaszcza w II i III akcie, być sztuką dyskusyjną (przypominała jakby inscenizowane oflagowe „nocne rodaków rozmowy” o przy czynach kłeski), nabrała jednak je-

szcze większej zwartości i przejrzystości. Dialogi zostały sprwadzone do tego, co najistotniejsze, najcenniejsze.

A potem kunszt reżyserski Axera i poziom gry zespołu Teatru Współczesnego. Reżyserzy filmowi mogli tu naprawdę uczyć się sztuki kierowania aktorem, oszczędności, precyzji, logiki w rozwiązywaniu sytuacji i prowadzeniu dialogu. Pooglądaj na grę aktorską w filmie są bardzo rozbieżne. Świetna kreacja Szaflarskiej, scena z bojówką wypadły chyba na pewno gorzej aniżeli w teatrze. Lecz pozostałe partie aktorskie wydają się, że zostały jeszcze w tym filmie i nawet, choć by kwestionować część „zblizeń” lub odczuwany zwłaszcza w środkowym akcie sztuki jakiś „prezentacyjny” styl gry, nabrały jeszcze plastyki.

Ściśle filmowa strona spektaklu wzbudzi u fachowców niejedno słusne zastrzeżenie, zwłaszcza natury technicznej. Filmowcy uznają go też niewątpliwie za zbyt mało filmowy. I kto wie, czy nie będą mieli pewnej słuszności, np. w odniesieniu do aktu pierwszego, w którym ukazanie drukarni i jej ludzi nie tylko wniosłoby więcej żywiłu filmowego, lecz zasugerowałyby też silniej klasową wymowę sztuki Zegadłowicza. Axerem kierowała chyba także chwalebna ostrożność „wyższego meża” (którego po tym, jak mówi Mickiewicz, „poznać można w tłumie, że on zawsze to tylko zwykły czynić, co umie”), a nie tylko przyjęta teoretyczna zasada. Przy pewnej wstrzemięźliwości wyrazu filmowego uzyskał przecież Axer w konsultacji ze Stanisławem Wohlem wyniki rzetelne. Sugestywne przejścia między poszczególnymi częściami sztuki, końcówki sceny dancingu w „Polonii” ze zdjęciem nieba, obraz szosy zawiąanej kurzem, uciekających aut — to są wszystko rozwiązania pomysłowe i wbijające się w pamięć. Osobną zaletą filmu stanowią dalsze rozbieżności wielkiej tryady głównego bohatera, skierowanej do zebranej inteligencji, a później do premiera Składkowskiego. Ruch kamery przerosił się z twarzy mówiącego następcy na twarze słuchacza, chwylał w przelocie scenkę między kelnerem — szpiegiem niemieckim i sanacyjnym agentem itp. Ożywiło to bardzo, czyniło mniej posagową scenę z bohaterem.

Więc chwalebne ekranizacje sztuki i przede wszystkim początkowym wywodom? Nie. Chwałę *Domek z kart*, mimo że jest to ekranizacja sztuki. Chwałę film, bo jest on dobrą robotą wybitnego artysty i zespołu, oscylujących tym razem między teatrem a filmem. Lecz jestem przekonany, że jeszcze lepsze, najlepsze dzieła da nam Axer w „zwykłym” teatrze i w „zwykłym” filmie.

Edmund Misiołek

STOJĄCE przed filmem możliwości dotarcia do najbardziej oddalonych od centrów kulturalnych zakątków prowokują twórców do coraz szerszych poszukiwań nowych dróg rozwojowych sztuki filmowej.

Jednym z problemów dzisiejszego filmu jest odnalezienie drogi artystycznego przekazania poprzez film najlepszych przedstawień teatralnych, udostępnienia szerokim masom najwybitniejszych utworów dramaturgii klasycznej i współczesnej.

Jest to zagadnienie bardzo trudne. W zasadzie bowiem przy ekranizacji spektaklu teatralnego istnieją dwie możliwości: albo stworzyć obraz tak statyczny, aby wypowiedziany został w całości tekst dramatu — albo ograniczyć słowo zastępując je ruchem i obrazem.

Krytycy filmowi i teatralni zużyli już wiele papieru i atramentu, a zapewne użyją jeszcze więcej, na precyzowanie wspólnych dla teatru i filmu konwencji, na odszukiwanie momentów wzajemnego przenikania tych dwóch odrębnych dziedzin dramaturgii — wiele było i będzie na ten temat sporów i krańcowo różnych opinii.

To, że tworzyłem filmu jest taśma celofanowa, która — odpowiednio użyta — ma właściwość utrwalania pewnych zjawisk w ruchu, dało podstawę do mechanicznego odfotografowania sztuk teatralnych — w wyniku czego powstawały dokumentalne filmy instruktażowe, bardzo ciekawe dla ludzi teatru, ale niezbyt ciekawe dla przeciętnej publiczności kinowej. Na podstawie dotychczasowych osiągnięć w filmowaniu teatru można już stwierdzić, że dla tych twórców, którzy chcą poprzez film pokazać i udostępnić najlepsze dzieła teatru, istnieje jedna droga — twórcze i śmiałe tworzenie nowych koncepcji filmowego teatru — zapożyczkowe tak ciekawie przez Gerasimowa w sfilmowanej przez niego „Maskaradzie” Lermontowa, kontynuowane przez Laurence Oliviera w jego filmach szekspirowskich.

Dlatego należy bardzo żalować, że twórcy pierwszej polskiej eka-

nizacji sztuki teatralnej Emila Zegadłowicza „Domek z kart” tak mało skorzystali z nasuwających się możliwości bardziej twórczego podejścia do tematu.

Film „Domek z kart” jest pewną rejestracją przebiegu przedstawienia teatralnego — jest wykozystaniem doskonalej inscenizacji tej sztuki w teatrze Współczesnym w Warszawie — a to w zasadzie jest niestosowne. Dla filmu powinna być opracowana nowa twórcza koncepcja tego tekstu teatralnego pasjonującego swą aktualną polityczną publicystyką. W minimalnym stopniu realizatorzy zdecydowali się zerwać z niezdolnie denerwującą w filmie konwencją trzech ścian sceny, rezygnując

korzystnie, nie pozwala na znużenie się słowem, brak jednak szerszego wykorzystania w tym samym celu montażu.

Na dobro filmu należy również zapisać interpretację aktorską, bardzo trafną filmowo, wyczułą i przez reżysera, i przez aktorów. Większość aktorów występujących w tej ekranizacji, to nie tylko mistrzowie swego kunsztu, ale co w tym wypadku jest bardzo ważne, aktorzy, którzy już niejednokrotnie występowali w filmie. Cały zespół gra bardzo filmowo bez tej „potykanej” często w ekranizacjach, wyrazistej ekspresji, koniecznej w teatrze mimiki i gestykulacji. Nie zapomniano również o stosowaniu i dostosowaniu do wymagań filmu



Henryk Borowski (redaktor Korbicki) i Bogdan Niewinowski (redaktor Juraszek) fot. C.O.P.A.

również całkowicie ze stworzenia szerszej, bardziej realistycznej atmosfery przez specjalnie opracowane dla filmu dekoracje.

Należy jednak przyznać, że uczyniono pewien krok naprzód w kierunku koncepcji filmowego teatru, jest nim umiejętnie wykorzystanie kamery filmowej, nie tylko jako środka rejestracji, ale również dla uwypuklenia i podkreślenia tekstu i ściślej zespelenia obrazu ze słowem.

Film cechuje szereg długich ujęć przerywanych zmian planów w celu zatuszowania męczącej statyki scenicznej. W większości wypadków to miejsce dialogów jest bardzo

charakteryzacji. Większość aktorów potrafiła stworzyć czysto filmowe kreacje. Doskonałym premierem Składkowskim — mimo pewnego przerysowania groteski — jest Stanisław Jaśkiewicz, bardzo realistycznie sanacyjną przeszką Hanna Bielicka, prawdziwym przedwojennym kociakiem Danuta Szaflarska, świetne są postacie literatów, starożytni, redaktorów. Dobrze filmowo wybrane sylwetki osób występujących w sztuce, obsadzenie najmniejszych ról przez doskonałych aktorów przyczyniło się do stworzenia w filmie tak bardzo koniecznej atmosfery realizmu — o której zapomnieli trochę realizatorzy opracowując scenopis filmu.

Największym jednak atutem filmowego „Domku z kart” jest sama atrakcyjność sztuki Emila Zegadłowicza. Na tym przykładzie można osądzić, jak wiele zależy od samego trafnego wyboru sztuki nadającej się więcej lub mniej do przełożenia na język filmowy.

Koncepcja filmowego teatru pozwala w zasadzie na opracowanie każdej sztuki, wybór sztuki bardziej atrakcyjnej, bliższej przez swą aktualność widzowi, pozwala na dużo mniejszy wysiłek twórcy realizatora. O ilez łatwiej było zrealizować bardzo „filmowego” „Henryka V”, jak bardzo trudno, jak wiele twórczego zapału i nowych koncepcji włożył Laurence Olivier w filmowego „Hamleta”, a o ilez więcej budził ten film zastrzeżeń i protestu.

Historia kłeski wrzesniowej, opowiedziana z talentem w formie doskonale dramaturgicznie rozwiniętego tekstu przedstawienia teatralnego, ze świetnym zarysem typowych, realistycznych postaci z tamtych, dziś już tak odległych czasów, jest równie pasjonującym widowiskiem w kinie, jak i w teatrze. Świetna, aktualna publicystyka sztuki pozwala zapomnieć o wszystkich niedociąganiach i raziących swą teatralnością błędach filmu.

To, że z Zegadłowiczem się udało i film w tej postaci spełnił swą rolę i jest potrzebny, niech nie będzie podstawą do realizowania z równie minimalnym wynikiem twórczym dalszych ekranizacji. Mechaniczne rejestrowanie na taśmie filmowej przedstawienia teatralnego nie jest w rezultacie filmem ani teatrem. Twórcze podejście realizatorów do każdego materiału filmowego, czy będzie to tekst sztuki teatralnej, czy oryginalny scenariusz — jest niezbędny i koniecznym warunkiem powstania wartościowego i dobrego filmu.

TOCZĄCA się od pewnego czasu dyskusja wokół sprawy dramatu i teatru na ekranie doprowadziła przynajmniej do jednego: wniosła nieco przejrzystości do terminologii, którą — bywało — nawet krytyka podlegała się dotąd wadliwie. Odróżniamy wreszcie ekranizację przedstawienia, tzn. sfilmowany spektakl teatralny, od ekranizacji dramatu, (pokrywającego się niekiedy z filmową wersją określonej teatralnej inscenizacji); od obu powyższych form odróżniamy jeszcze trzecią, najbardziej swobodną, adaptację filmu o dramata. Lecz choć terminologia uległa pewnemu uściśleniu, w praktycznych wnioskach nie wyciągnięto jeszcze, jak się zdaje, ostatecznych konsekwencji.

Ważnym na przykład problem ekranizacji przedstawień. Mimo wysokiego poziomu takich filmowanych spektakli, jak *Zywy trup* czy *Na dnie*, dość wcześnie pojęto ze strony tej formy „teatru na ekranie”. Optyka filmu kłóci się z optyką teatru, kompromituje teatralną szminkę. „Sposób gry aktora w teatrze, kompozycja akcji, charakterystyka, obliczone są na to, żeby przynieść myśli, uczucia, akcję, słowo daleko w głąb sali aż do najdalszych rzędów widowni. Kamera obnaża tę tendencję teatru, odkrywa ją przed publicznością, odbiera przedstawieniu urok prawdy i świeżości”.

Stwierdzenia jak najbardziej słuszne. Więc precz z filmowanymi przedstawieniami? Dość powszechną zgodzono się już z ich ograniczoną, raczej jedynie dokumentalną przydatnością. Lecz czy wniosek ten nie okazał się przedczesnym, zwłaszcza w obliczu rozwoju telewizji? Ożywiająca tysiące widzów odległych od centrów kulturalnych chęć bezpośredniego niejak i równoczesnego udziału w przedstawieniach centralnych teatrów, ów moment aktualności, któremu stały rozwój techniki sprzyja, może pokonać wszelkie opory i podtrzymać szerszy społeczny sens ekranizacji przedstawień teatralnych.

Odwrotnie zdaje się przedstawiać sprawa z ekranizacją dramatów. Każda sztuka ma tendencję do coraz pełniejszego wyodrębnienia swej specyfiki, do odcinania się od środków wyrazu innych sztuk. Olbrzymia np. swoboda ruchu jest w porównaniu z teatrem jedną z uderzających cech filmu. Dlaczego miałby on pozbywać się tego swego atutu i wracać do przestrzennego skrepowania, związanego z konwencjami dramatu? Dramaturgia teatralna była i zapewne będzie jeszcze długo źródłem pomysłów do scenariuszy filmowych, lecz wydaje mi się, że twórczych artystów będą zawsze kusily raczej jak najbardziej swobodne adaptacje czy nawet wariacje filmowe na temat znanych dramatów — przykładem może tu być nowe opracowanie *Fausta*, *La beauté du diable* René Claira — aniżeli bardziej lub mniej niewolnicze filmowe wersje utworów napisanych nawskroś iną, teatralną konwencją.

Jeśli więc miałbym prorokować o rozwoju przyszłości, z trzech form, o których tu mowa, wypowiedziałbym się — wyłączonej właśnie formę pośrednią, ekranizację dramatów — za ekranizacją filmowo — telewizyjną przedstawień teatralnych oraz za swobodną adaptacją filmową dramatów. Lecz najważniejszą kierunkową rozwojową pozostanie chyba nadal czysty film z jednej i czysty teatr — z drugiej strony. Taką też diagnozę stawia w swym przedrukowanym przez *Przebieg Kulturalny* z 6 stycznia, esej *O filmach włoskich* Ilija Erenburg. Symptomatyczne jest pod tym względem wyznaczenie Erwina Axera, twórcy naszej pierwszej ekranizacji. Zapytywany po swym filmowym debiucie o dalsze filmowe plany, znakomity reżyser zapowiedział po prostu kręcenie filmu, tout court.

Takie generalne, najbardziej chyba dialektyczne, rozstrzygnięcie

KILKA SŁÓW



NIEZNANE TEKSTY BERNANOSA

Stycynowy numer francuskiego pisma katolickiego, „Actualité religieuse dans le monde”, podaje nieznaną teksty Jerzego Bernanosa opracowane przez popularnego krytyka literackiego i redaktora „Esprit” — Alberta Beguin. Są to: napisana w 1939 r. przedmowa do zbioru wierszy znanego poety brazylijskiego, Jorge de Lima, i list Bernanosa do tego samego poety. Jak wiadomo — Jorge de Lima, lekarz, malarz, powieściopisarz a przede wszystkim wielki poeta chrześcijański zmarł sześć tygodni temu w Rio de Janeiro w wieku 59 lat. Dla Bernanosa, który zawsze kochał poezję, a zwłaszcza wiersze Viktora Hugo, Baudelaire’a, Rimbauda i Eluarda — spotkanie z Jorge de Lima było niezwykle ważne. Był to także jedyny poeta, z którym łączyła Bernanosa serdeczna przyjaźń.

NOWA BIOGRAFIA FOUCAULDA

Charles de Foucauld — najpierw oficer kawalerii, później zakonnik-trapista, a wreszcie pustelnik osady na Saharze, ale osiadł tam nie po to, by uciec od świata i ludzi, lecz by swoją pracą wśród „braci małomiejani” choć w części łagodzić nieszczęścia, jakie przyniósł im francuski system kolonialny — doczekał się po książce znanego pisarza francuskiego, René Bazina, nowej biografii, która wyszła spod pióra amerykańskiej autorki, Anny Fremantle. Tytuł tej pracy brzmi: „Desert Calling” („Wolność pustyni”).

PAMIĘCI JULIANA TUWIMA

Staraniem Związku Literatów Polskich w dn. 18 stycznia br. odbyła się uroczysta akademja w Teatrze Narodowym poświęcona uczczeniu pamięci Juliana Tuwima. Na akademję przybył członekowie biura Politycznego KC PZPR, Rady Państwa i Rządu oraz liczni przedstawiciele świata artystycznego i literackiego. Akademja otworzył Przewodniczący Zarządu Głównego ZLP, Leon Kruczkowski, referat zaś o twórczości wielkiego poety wygłosił Mieczysław Jastrun.

W części artystycznej wybitni recytatorzy deklamowali wiersze zmarłego poety.



KONCERTY MUZYKI RELIGIJNEJ W BUDAPEŚCIE

Z ciekawą inicjatywą wystąpił opat kościoła farnego w Budapeszcie ks. dr. Endre Babosca, organizując cykli kon-

certów muzyki religijnej przy współudziale zespołu muzycznego „Kapistran-Choirs”. Zespół ten, składający się z 80 członków — chóru diecezjalnego i zespołu orkiestralnego, postawił przed sobą ambitne zadanie: spopularyzowanie wśród wiernych najwybitniejszych dzieł muzyki światowej. I tak program przewiduje: ubiegłego roku 25 października wykonania Liszta: *Chrystus*, 3 listopada Mozarta *Requiem*, 6 grudnia Saint Saens: *Oratorium Bożonarodzeniowe*, 20 grudnia J. S. Bacha *Oratorium Bożonarodzeniowe*, 10 stycznia Haydna. *Stworzenie świata*, 14 stycznia Haydna: *7 słów Chrystusa przed Krzyżem*, 8 marca Beethovna: *Chrystus w Ogrodzie Oliwnym*, 29 marca Arubinstein: *Utrącony raj*, 16 kwietnia J. S. Bacha: *Pasje*, 9 maja Handla: *Mesjasz*.

W przygotowaniu są: *Msza Janacka* i *Msza na orkiestrze* Zoltana Kodaly’a.

ZYGMUNT MYCIELSKI LAUREATEM NAGRODY MUZYCZNEJ ZWIĄZKU KOMPOZYTORÓW POLSKICH

W IX rocznicę wyzwolenia Warszawy Związek Kompozytorów Polskich przyznał nagrodę muzyczną ZKP na rok 1954 (w wysokości 9 tys. zł.) kompozytorowi Zygmuntowi Mycielskiemu za pełną poświęcenia pracę dla rozwoju muzyki polskiej oraz za wieloletnią działalność organizacyjną w przedmiur Zarządu Głównego ZKP.

Zygmunt Mycielski jest laureatem Nagrody Państwowej, przyznanej mu za „Symfonię polską”. W roku 1953 został odznaczony Krzyżem Kawalerskim orleńskim Orderu Odrodzenia Polski.



KLUB MIŁOSNIKÓW TEATRU W LENINGRADZIE

Istnieje od 1950 r. jako sekcja widzów przy Leningradzkim Domu Aktora. Liczy około 300 członków pochodzących z wszystkich warstw radzieckiego społeczeństwa. Klub urzadza dyskusje nad spektaklami, spotkania z artystami. Niedługo — przed premierami — reżyserzy i artyści mówią na zebraniach Klubu o pracy nad sztuką przedstawiając szkice dekoracji. Kilka razy w roku odbywają się w Klubie konferencje tematyczne poświęcone np. „Sztuczności w scenach teatrow” „lenigradzkiej”. Spektaklami Teatru Im. Rady Leningradzkiej itp. Najbliższą konferencją poświęconą będzie inscenizacja Wielkiego Teatru Dramatycznego im. Gorkiego.

FRAGMENTY MISTERIUM WYSTAWIŁ TEATR STUDENCKI KUL

Rozwijał ciekawą działalność sceniczną Studencki Teatr Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego wystawił ostatnio w auli KUL-u fragmenty dwóch misterium: głośnego średniowiecznego „Misterium o Adamie” (Jeu d’Adam) oraz współczesnego „Misterium o Wcielonym Słowie” pióra Jerzego Zawieskiego.

SZEKSPIR W POLSCE

W połowie bieżącego roku ma się ukazać interesująca publikacja bibliograficzna prof. Hanna pt. „Szekspir w Polsce”. Będzie to zestawienie wszystkich przedstawień, prac artystycznych o Szekspirze, które się w Polsce ukazały. Prace nad dziełem, prowadzone w Sekcji Teatru PIS, dobiegają końca.

ODZNACZENIE JANA MROZIŃSKIEGO

W związku z 40-leciem pracy aktorskiej, Rada Państwa nadała wybitnemu artyście odznaczenie. J. Mroziński, Krzyż Kawalerski Order Odrodzenia Polski.

DEKORUJĄCY ARTYSTY, MINISTER KULTURY I SZTUKI, W SOKOLSKIM, PODKREŚLIŁ JEJ ZAŁOGI PRZY ORGANIZOWANIU ŻYCIA TEATRALNEGO W WYŻYTOJENIEJ WARSZAWIE ORAZ OFIARNOŚĆ I PONIĘSIKĄ DZIAŁALNOŚĆ W UPOWASZNIENIU SZTUKI TEATRALNEJ W ZAKŁADACH PRACY I NA WSI.

TOMASZ MUNZER NA SCENACH NRD

Postać Tomasza Münzera, głośnego przywódcy chłopskiego z czasów Reformacji, przyciąga coraz bardziej uwagę niemieckich dramaturgów. Zmarły w ub. r. Friedrich Wolff poświęcił jej powstał swą ostatnią sztukę pt. „Thomas Münzer der Mann mit der Regenbogenhaube” (E. M. — maż z tęczą na sztandarze). Ta kronika dramatyczna w 14 odczynach, ukazująca na tle zmagania Reformacji walkę o jedność Niemiec, doczekała się właśnie piątpremiery w niemieckim Deutsches Theater. Reżyserował utwór i grał w nim tytułową rolę Wolfgang Langhoff. Sztukę Wolffa i jej przedstawienie ocenia się wysoko. Inną, znacznie jednak słabszą sztukę współczesną o Münzerze, „Thomas Münzer in Mühlhausen”, pióra H. U. Wendiera, wystawia teatr im. Münzera w Eisenbie.

NIEMIECKIE SUKCESY „POZUKIWAŹCZY” KRONA

Ta sztuka radzieckiego pisarza, ukazująca ekspedycję badawczą na tereny nartowe, otrzymała w Niemczech tytuł „Totus Tal!” (Zmiałła dolina) i budzi szerokie zainteresowanie. Po spektaklach w Dessau i Magdeburgu wyreżyserował ją właśnie w Deutsches Theater Hervart Grosse, a rolę komunisty Majorowa grał w niej podolski zbył dobrodźca, głośny aktor-piosenkarz, Ernst Bach. Pierwszą polską „Pozukiwaczy” przygotował w grudniu gdziński Teatr Wvbrzeza.



NOWOCZESNY KOŚCIOŁ W STOLICY FILIPIN

Niedawno donosiliśmy, że znany architekt francuski, Le Corbusier, buduje nowoczesną kaplicę ku czci Najświętszej Maryi Panny. Obecnie katolicka prasa zachodnio-europejska podaje, że w stolicy Filipin — Manill — także powstaje kościół zbudowany w nowoczesnym stylu. Wnętrze tej świątyni jest bardzo proste, a największym efektem architektonicznym są jej przejrzyste, szklane ściany, poprzez które widać piękne, pokryte zielenią góry.

ODBUDOWA ZNISZCZONEJ KATEDRY W SZOMBATHELY (WĘGRY)

Zniszczona wskutek działań wojennych zabytkowa katedra w Szombathely, dzięki ofiarom wierzących i pomocy rządu węgierskiego jest obecnie pieczołowicie, wg dawnych wzorów odbudowywana. Rekonstruowane są nawet zabytkowe freski — słynne freski z Szombathely — nad którymi pracują najwybitniejsi artyści malarze. Ostatnio odbyła się wielka uroczystość — poświęcenia nowego obrazu do głównego ołtarza katedry. Obraz ten, przedstawiający św. Teresę z Lisieux, dziełem współczesnej malarzki węgierskiej, Masa Peszty.

BUDOWA TEATRU WIELKIEGO

Nareszcie, po długich dyskusjach w zespole teatrologów i naszych architektów z prof. Bohdanem Pniwnskim na czele, dyskusjach popartych wyjazdami za granicę — ustalono ostatecznie konstrukcję sceny operowej Teatru Wielkiego w Warszawie. Miano do wyboru utworzenie horyzontu szczytowego, panoramicznego jak w Opere Pańskiej, co wszakże nieproporcjonalnie podniosłoby wysokość „wieży sceniczej”, lub — horyzont tu płociennego zwanego pionowo po bokach sceny, jak w mediolańskiej La Scala. Wybrano ten drugi system i Opera Warszawa otrzymała scenę wzorowaną na najświeższej operze świata.



MATKA BOSKA W OBRAZACH WIELKICH MISTRZÓW

Ostatnio w Paryżu, nakładem wydawnictwa de Varennes, ukazała się książka Marcel Bervanese nosząca tytuł „La Vierge par les peintres”. Daje ona krótki rys historyczny dzieł największych szkół malarstwa światowego i podkreśla, jak często Najświętsza Maryja Panna była natchnieniem dla sławnych mistrzów. Reprodukacje — niesłusznie tylko biologicznie — są starannie dobrane i stanowią najbardziej atrakcyjną część tego albumu.

PO ZJEDZIE MŁODZIEŻY ARTYSTYCZNEJ

Na pierwszy rzutek młodzieży średnich szkół artystycznych, który miał miejsce w styczniu br., obszerne przemówienie wygłosił minister Włodzimierz Sokorski precyzując zadania i perspektywy stojące w Polsce przed szkołami tego typu. Minister Sokorski zapowiedział, że siednie szkolnictwo artystyczne będzie otoczone większą niż dotychczas opieką, ponieważ ono właśnie kształtuje oblicze twórcze i światopoglądowe przyszłych artystów decydujących o rozwoju naszego życia kulturalnego.

ECHA WYSTAWY

Francuskie pisma poświęciły wiele miejsca sprawozdaniom z wystawy francuskiej ukamienionej sztuki, która niedawno została zamknięta w Paryżu. „Zachęty” krytyk Jean-Pierre na łamach „Les Lettres Françaises” dzieli się wrażeniami z wystawy z czytelnikami francuskimi i podkreśla entuzjazm, z jakim społeczeństwo polskie przyjęło pokaz prac posępowych artystów francuskich. Fryz okazji Jean-Pierre stwierdził, że Polska i w dziedzinie opieki nad twórczością artystyczną może służyć Francji przykładem. Czyż można porównać sytuację artystów w Polsce, gdzie ogromną część utworów państwowego poświęca się na rekonstrukcję miast, z sytuacją artystów we Francji, walczących oższczeniście o podniesienie z upadku szkolnictwa artystycznego?

WIELCY „HOLENDRZY” W RZYMIE

Najważniejszym wydarzeniem zimowego sezonu wystawowego w Rzymie była zamknięta w miesiącu styczniu wielka wystawa malarzy holenderskich z XVI w., których obrazy znajdują się w Wloznie w Palazzo delle Esposizioni zgrupowane pódna Rembrandta, Fransa Hamadzo, Ruisdaela, Vermeera, di Jorda, i in. W rozprawie poprzedzającej katalog dzieł — znany włoski krytyk sztuki, De Vries, stwierdził niewątpliwie wpływ wielkiego malarza włoskiego — Caravaggia — na kształtowanie się geniuszu Rembrandta.